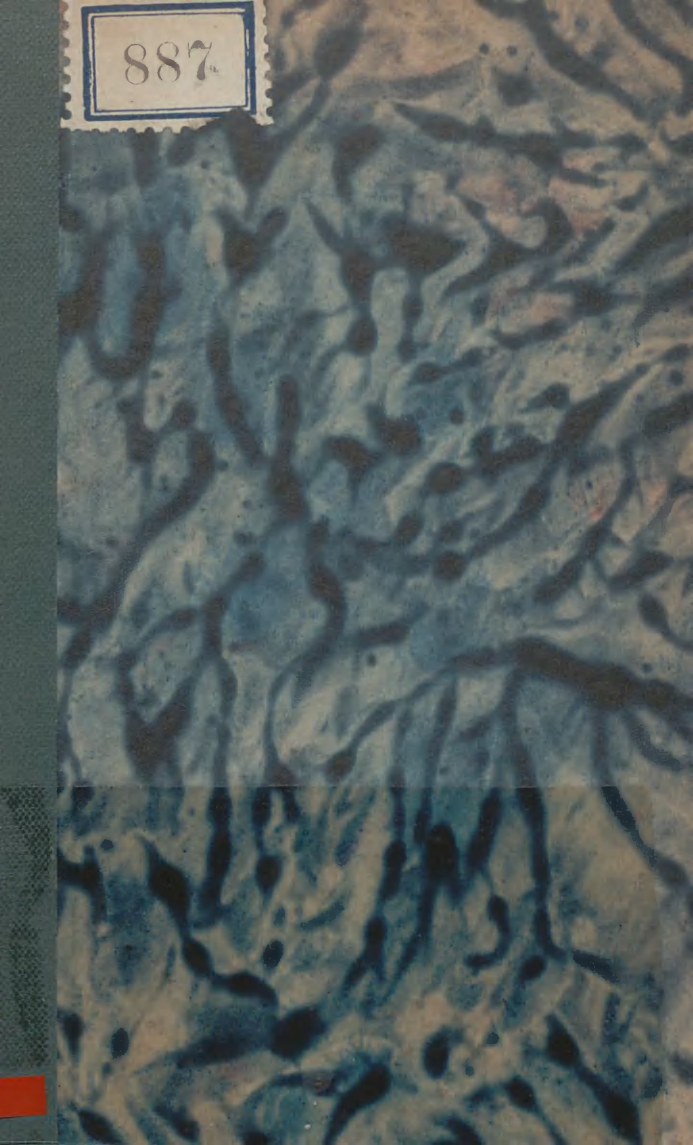


887<sup>th</sup>



. Z  
DARU  
HELENY Z BIELAKÓW  
ADELMANOWEJ  
NR.

Z KRESÓW POLSZCZYNY.





ROMAN ZAWILIŃSKI

Z KRESÓW  
POLSZCZYZNY

WRAŻENIA PODRÓŻNIKA



W KRAKOWIE 1912  
S. A. KRZYŻANOWSKI.



57289



AKIV

310/170

ODBITO W Drukarni Narodowej w Krakowie.



*Cesiowi i Marychnie  
dzieciom swoim  
na gwiazdkę*

*ofiaruję.*



## PRZEDMOWA.

Zebrane tu szkice powstały w różnych chwilach ostatniego dziesięciolecia. Większość z nich była już drukowana w czasopiśmie i dziennikach (np. I—V w »Przeglądzie powszechnym« z r. 1910. z 10 i 11. VII w »Nowej Reformie« r. 1900, a VIII w »Czasie« 1902); nie sędzę przecież, aby straciły przez to wartość życiowego dokumentu, i nie zainteresowały dziś zwłaszcza, kiedy obudziliśmy się z wiekowego zapomnienia i dostrzegamy obok siebie braci, a kresy polszczyzny znacznie dalej, niżby się pozornie sądziło z map i politycznych rozgraniczeń.

Nasuują się na pamięć niezapomniane słowa W. Pola:

»A czy znasz ty, bracie młody?« —

a skoro odpowiedź wypada przecząco, uważamy za swój obowiązek zapoznać i młodych i starszych z tem, cośmy znać dobrze dawno byli powinni.





I.

## Z MAZOWSZA PRUSKIEGO

Jadącemu z Warszawy pospiesznym pociągiem kolei petersburskiej i patrzącemu w Białymstoku na wlokące się pociągi kolei bocznej w stronę Grajewa ani nie przyjdzie na myśl, że w odległości około 90 wiorst, w północno-zachodnim kierunku, leży Łek (Lyck), stolica Mazowsza pruskiego, i że zarówno w kierunku wschodnim od niego, jak w zachodnim, w pasie granicznym pruskim, szerokim na mil 8, usłyszy język polski w brzmieniu gwary mazurskiej, z odcieniami właściwości mowy Kurpiów z Puszczy Zielonej. Kraj ten od wieków niemczony nie zatracił dotąd swego polskiego charakteru, a w stosunku do osobliwości topograficznych i właściwego

sobie charakteru etnograficznego i językowego za mało dotąd był przedmiotem badań. Prawda, że warunki są dosyć nieprzychylne, ale kto umie z nimi się pogodzić, trudności zwyciężyć, a przeszkody niemożliwe do usunięcia przeskoczyć, albo nawet i pod nie podleźć, ten trudu i częstego zaparcia się siebie nie pożałuje.

Kraj pagórkowaty, miejscami poprzerzynany nagimi ławicami piasku, jest przeważnie lesisty i obfity w jeziora. Te zwłaszcza, błyszcząc większą lub mniejszą szybą w zagłębieniu wzgórzy falistych, u wierzchołków w ciemny kontur lasem szpilkowym zarysowanych, nadają krajobrazowi właściwy charakter, niby wyschłego dna morskiego z resztkami spłynionej wody, a zarazem usposabiają podróżnego do powitania nieprzejrzanej wód fali na niedalekim Bałtyku...

Ludność przeważnie gospodarna i zamożna, ponieważ umie wyzyskać rolę i gospodaruje dosyć postępowo. Języka swego nie straciła, ale się go wstydzić poczyną wobec inteligencji i wpływu niemieckiej szkoły; działa tu w pewnej mierze i protestantyzm, niosący za sobą germanizację, chociaż na pociechę wyznać trzeba, że ten jest mniej niebezpieczny. Temu samemu wpływowi przypisać trzeba zanikanie właściwości etnograficznych w ubiorze, urządzeniu do-





mu, obyczajach, zwyczajach itd. Co się zachowało nosi na sobie piętno starożytności wiekowej i jest dla badacza pierwszorzędnej wartości materiałem.

Ale Niemcy nie próżnują.

Jeżeli im tyle zależy na zniemczeniu Prus zachodnich i Wielkopolski, jakąż wagę przypisywać muszą tym kresom prawdziwie wschodnim, których pas nadbałtycki zamieszkuje ludność niemiecka. Znana jest maksyna: *divide et impera!* (Rozdzielaj i rządz!) Wmówić Mazurowi, że on nie Polak, ale Mazur, że co innego Polacy i »wielkopolska agitacya«, przez którą chcą oderwać od królestwa pruskiego przez Fryca wielkiego

zdobyte kraje, — a co innego *Masurenland* (kraj Mazurów) od wieków przynależny do Prus i zawsze królom pruskim wierny. »Mazurzy dawno zapomnieli, że ich prapradziadowie należeli do Królestwa Polskiego. Chociaż trwają uparcie przy swej gwarze, która jest zepsutą (!) polszczyzną, mocno naszpikowaną wyrazami niemieckimi, są przecież poddanymi króla pruskiego zapalonymi, a z żonek reszty Polaków, zamieszkujących Prusy, co do zmartwychwstania Polski niema u nich ani śladu. Nadto są wiernymi synami kościoła ewangelickiego, lubo okazują pewne skłonności do przyswojenia sobie niektórych zewnętrznych obrzędów Kościoła katolickiego«. <sup>1</sup>

Tak się wmawia w Mazurów odrębność językową, odrębność *Masurenlandu* od ziemi mazowieckiej i śpiewa się z patosem:

O Heimatland, Masovias Strand,  
Masovia lebe — mein Vaterland! <sup>2</sup>

Zaledwo o dwie mile od granicy odległe, miasto powiatowe, liczące podobno ludności 12.000 z górą, punkt zetknięcia się, a raczej krzyżowania dwu kolei królewiecko-grajewskiej

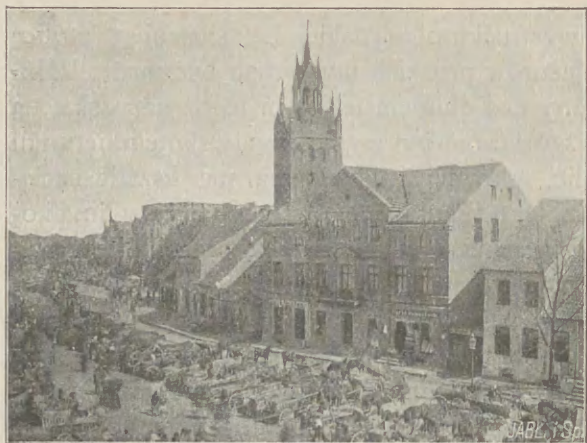
---

<sup>1</sup> *Masuren. Ein Wegweiser* von Anton Hensel. 2 wydanie, Królewiec 1896, str. 27 i 28.

<sup>2</sup> Tamże, str. 4 i 5.

i wystrucko-olsztyńskiej, Łek słusznie za stolicę Mazurów pruskich uważanym być może. Położony nad długiem jeziorem tegoż nazwiska, na wzgórku niezbyt wyniosłym, wskutek kierunku ulic, głównej i kolejowej, ma kształt naciągniętego łuku, którego cięciwę tworzy linia kolei żelaznej, a strzałę napiętą prosta ulica kolejowa, grotem godząca w jezioro i przeszywająca je na wskroś mostem na wysepkę wiodącym i groblą poza wyspą usypaną. Oświetlone gazem z palnikami Auerowskimi, schludnie utrzymane, czyni na podróżniku przyjemne wrażenie, dopóki go bliższe poznanie stosunków nie zadziwi i nie zaboli.

Nie sięgając ani w metryki, ani w spisy ludności, czyta się na licznych tablicach sklepowych i wystawowych nazwiska: Brzoska, Wrubel, Sobiech, Wielgoss, Wessoleck, Czygan, Jakubzig, Philipzick, a nawet Skibowski, Skrodzki, Wilamowski, Kowalewski, Rogalski, Lojewski, Orlowski, Zijmowsky, Artischewsky, które zeszepecone pisownią są na wskroś przecieź polskie. Niestety — poza nazwiskami więcej polskiego nic się nie znajdzie i jeżeli posiadacz polskiego nazwiska nie zaprze się wprost swego pochodzenia polskiego, w każdym razie języka już nie umie, chyba kilka wyrazów ł



niecznych do porozumienia się z ludnością okoliczną jeszcze nie zniemczoną.

Oto np. targ, jeden z większych, jakie się dwa razy tygodniowo odbywają. W ulicy głównej ruch wozów i gwar kupujących; wozy ustawiają się w dwa równoległe rzędy, każdy wóz z tabliczką, mieszczącą nazwisko właściciela, nazwisko wsi i powiat. Są to nieraz komiczne, a zarazem smutne okazy germanizacyi, jak np. tabliczka z napisem: »Samosni Dorf Markoscheyen«, co ma znaczyć, że gospodarz nazywa się Zamożny, a mieszka we wsi Markosieje!

Na wozach pozostają gospodynie (białki), lub bracia i synowie, a gospodarze (gbury) idą się raczyć do szynków i sklepów. Siwe, długie,

z samodziału sukmany, i podobnego koloru czapki okrągłe, których jedna część odwinięta ku przodowi, tworzy daszek, cechują gburów starszych, którzy się jeszcze sukmany nie wstydy. Stojąc lub siedząc, gwarnie rozmawiają, użalając się lub opowiadając, a co chwila trącając się szklankami mówią: prost! (tj. prosit). Ich żony i córki nie zachowały w stroju już nic odrębnego; te ostatnie przebrały się już w kapelusze i modne ubrania i zawzięcie flirtują z feldfeblami, których marsowe oblicza ocieniają dwie miotełki wąsów w górę à la Wilhelm rozczesane.

Wszyscy między sobą rozmawiają po polsku, ale niechby tylko kupiec lub żołnierz przemówił po niemiecku, natychmiast zaczynają łamać





ten język w straszny sposób i popisywać się, że oni też umieją. Nie braknie i takich, co usprawiedliwiają się, że dobrze nie mówią po niemiecku, wyrażają radość, że ich dzieci będą dobrze mówiły, bo teraźniejszy »rektor« nie przebaczy, za każde słowo polskie karze, a sam nie umie po polsku, więc dzieci wyuczą się *fajn po nieniecku!*...

Polakowi z innych stron przysłuchują się uważnie.

— Prawda, że mnie rozumiecie? — pytam.

— O jo, jo — odpowiadają.

— Ano, to widzicie, żeśmy wszyscy Polacy.

— To nie, prośe waści, my Mazury.

— Naturalnie — wtrąca mój towarzysz Polak — wyście Mazury, ale i my Mazury. Bo widzicie, Mazury są tu i około Warszawy i het, nad Wisłą, aż w Galicyi, a to wszystko, chociaż mówi trochę inaczej, mówi po polsku.

— No niby tak, ale my Mazury, nie Polaki.

Dlaczego tak wypierają się polskiego pochodzenia, wkrótce się dowiedziałem. Przedewszystkiem w szkole, jest »Polak« przezwiskiem, które dziecku mazurskiemu rumieniec na lica wypędza, kiedy mu je nauczyciel w twarz rzuci. Polak w pojęciu junkrów pruskich, to człowiek niechlujny, niedbały, twardogłowy, nieprzystępny dla kultury niemieckiej, a więc zdrajca

kraju. A w kościele? — Tam Polak, to znowu katolik, Jezuita, chytry, zabobonny, ciemny i głupi, bo go światło nauki ewangelickiej nie oświećla, tak jak Mazurów, prawie wyłącznie ewangelików.

Czy się dziwić, że takim Polakiem Mazur być nie chce i że o tę nazwę się gniewa?

Dopiąwszy tego, idzie germanizacya po nici do kłębka. »Wasza mowa — mówi — to nie język polski, to nie *hochpolnisch*, to gwara mazurska, która nie mając literatury, nie ma prawa bytu i zagać musi. Wasza mowa, to równie jak mowa Ślązaków, jest zepsuciem mowy niemieckiej, jest *wasserpolekisch*, bo nadaje słowom niemieckim brzmienie miejscowe, mając »brukować« zam. *brauchen* (potrzebować), »kalka« zam. *Kalk* (wapno), »dibzak« zam. *Diebsack* (kieszeń), »sznyptuch« zam. *Schnupftuch* (chustka do nosa), »dyrchem« zam. *durch* (na wskrós) itp. Nie macie więc powodu tej gwary bronić i zachowywać, ale nauczyć się porządnego języka niemieckiego i stać się uczestnikami wielkiej kultury niemieckiej. My wam ją niesiemy z całą ofiarnością, a wy, głupcy, odtrącacie ją i popieracie gazety, pisane nie waszą gwarą nawet, ale polskim, obcym wam językiem! «

I lud mazurski zaczyna w to wierzyć, zwa-

szcza, że te pojęcia wszczepia mu szkoła od wczesnej młodości.

Jak też wygląda na tej wsi mazurskiej i w tej chacie, wystawionej na takie pociski kulturtregerów?

Objawiona chęć miała się wnet urzeczywistnić.

— Chce waść u nas się rozpatrzyć, siadaj waść z nami! — odezwał się jeden z Mazurów, ze wsi niedalekiej.

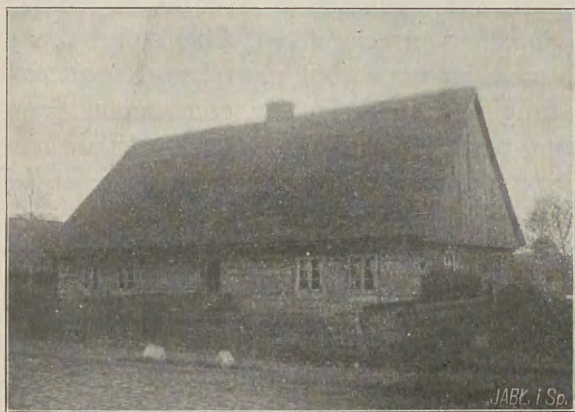
Pokusa była wielka. Wprawdzie z targu wracają gospodarze dobrze podchmieleni, bo »sznaps« nie próżnuje, ale może to jazda nie tak niebezpieczna, zwłaszcza, że drogi dobre i równe.

Jechaliśmy wózkiem szerokim, ale krótkim, tak, że tylko jedno siedzenie można było umieścić. Siedzimy we trzech, a brat »gbura« umieścił się w tyle kosza wozowego i ucisza prosiaka w worku, wołającego o ratunek. Konie dość rosłe, ale wychudłe, biegną rączo, zwłaszcza kiedy na nie gospodarz gwizdnie. Mijamy most na rzece, przy którym tablica mieści utrakwistyczny napis: »*Schritt!* powoli«. A więc, gdzie potrzeba wymaga, nie zaprzecza się istnienia języka polskiego, czyli gwary mazurskiej. Tylko nazwy miejscowości ulegają bezwzględniemu niemczeniu, choćby nawet komicznemu. Mała



osada na południe od Łku leżąca, a nazwana Szybą, czyli w brzmieniu mazurskiem Syba, figuruje na tablicy jako »Sybba«, wymawiana przez Niemców jak »Zyba«. Ale nie wszystkie nazwy uległy przekręceniu fonetycznemu; wiele po prostu przetłumaczono, jak np. Nowa Wieś na *Neuendorf*...

Mijamy gęste bory, torfiaste łąki, zatoki jezior lub jezior i stajemy na miejscu.



Chata naszego gbura stoi osamotniona, bo jest on posiadaczem 80 mórg, więc ma niby folwark w środku swej posiadłości. Tylko chałupnicy o kilku morgach kupią się przy sobie w osadę; zresztą wsi zamożniejsze bywają tu bardzo rozrzucone i nie czynią wrażenia wsi,

zwłaszcza, jeśli w nich niema kościoła. Zabudowania gbura obszerne, tworzą prostokąt, w środku obora. Dom mieszkalny obszerny, ale niski, ma sień, dwie obszerne izby po obu jej stronach i w drugiej części sieni spiżarnię. Na środku izby, do której weszliśmy, leżała kupa ziemniaków (bulwy), które przysposabiano do sadzenia, obok kołysał się półtoraroczny chłopiec w przywiązanej do belki w powale kołysce, aby się nie wyrócił w zapędzie. W jednym kącie izby naprzeciw drzwi, długi stół, nakryty obrusem białym, a obok niego ława z oparciem, w drugim, za perkalowemi czerwonemi firankami, wielkie łoże. Widać zamożność, ale niema porządku; sama gospodyni, równie jak jej dzieci, brudna i zaniedbana.

— *Mutter!* przyrządź nam podwieczorek! — woła gbur na żonę, a ta zagotowawszy wody, naląła ją do dużego porcelanowego dzbana i postawiła na stole razem z flaszką araku, cukrem i szklankami. Nie wiedziałem, co to będzie; oddałem innym pierwszeństwo w zrobieniu sobie napoju i jak inni osłodziwszy wodę gorącą, dodałem araku, aby się napić t. zw. tu »herbaty«, która jest prostym grokiem.

Nadszedł sąsiad i rozmowa poczęła być coraz żywsza. Właśnie przyszło pismo z powiatu, że gminie nie pozwalają na otwarcie szkoły, po-

nieważ niema dosyć funduszu, a szkoła w sąsiedniej wsi zupełnie jej wystarcza, zwłaszcza, że będzie na dwuklasową przeistoczona.

— Jakto? — zapytałem — to wy chcecie szkoły, a władze wam jej odmawiają?

— Słuchajże waść, to jest tak. Przed welunkiem (*Wählung, Wahl* — wybory), to nam landrat obiecywał, że dostaniem szkołę, jak na nigo bedziem śtimowali, a nie na nasego mazura. Teraz nima dla nas pieniędzy; teraz jino żandar patrzy, aby śtrofować jak nima ordnunku, abo jak sie cyta nase *Gazete Ludowo*. Tak to jes pomsta.

W toku rozmowy dalszej dowiedziałem się, że u nich stosunki dość przykre. »Majątkarze« czyli właściciele większych posiadłości są to wyłącznie Niemcy konserwatywni, którzy należąc również z nauczycielem Niemcem do komisyi podatkowych, szacują za wysoko dochód gbur a przyczyniają się do wymiaru nader wysokiego podatku. Jeżeli dodamy do tego daniny kościelne na wysoką pensję dla pastora i dodatki gminne, zrozumie się skargi na ucisk podatkami.

— Księdzu (tj. pastorowi) płać »jelgi« (wielki) płat, a za pogrzeb i za cosi jesse, a on sobie panem, a mi (my) zebrakamy.

Z okazji pastora przypomnieli sobie przed kilku dniami zapadłą uchwałę synodu ducho-

wnego w Ostródzie, aby język polski tolerować wprawdzie w kościele ewangelickim, ale iść według głosu sumienia niemieckiego i wprowadzać, gdzie można, język niemiecki wszelkimi środkami, jakie tylko mogą być do dyspozycji.

— Ano — mówili — przydzie nam zostać albo baptystami (sektą na Mazurach) albo Apostolarzami lub gromadkarzami, albo sobie zrobim nowo sekte, aby nie słuchać pastorów takich.

Takto lud ten niema nigdzie oparcia, nigdzie opiekuna.

Wieczór się zbliżał, chciałem się z nimi pożegnać. Prosili, aby zanocować, a na drugi dzień zawieźli mię do swego starszego brata w inną stronę jeziora.

Niepospolita okazałość budynków tego gbura zwróciła moją uwagę. Wszystko murowane, pokryte dachówką, obora czysta. I wewnątrz nie zawiodło. Zastąłem gospodarstwo, starych, bezdzietnych, w dużej, jasnej izbie, w której i firanki u okien i komoda, i szafa, i sofa wyścielana nie należała do zbytku, a cała podłoga była wyłożona chodnikami domowego wyrobu, z różnych różnokolorowych pasków. Gospodarz był typem Mazura, twarz pełna, nieco obrzękła wprawdzie, wygolona starannie, nos prosty, oczy niebieskie figlarnie przysłonięte powiekami, czoło wyniosłe w wiązku siwych włosów. Oddawszy go-

spodarstwo przybranemu synowi, bratankowi, sam wypoczywa, czytając wiele i rad gwarząc o tem, co się na świecie dzieje. Posiadłość jego



możnaby nazwać folwarkiem, bo samego lasu ma 300 morgów i w osobnym budynku opodal, utrzymuje trzech parobków żonaty.

— U nas tu bida, robociązych (najemników) trudno dostać, a i sług nimas; trza płacić 100 marków rocznie i jęcej (więcej) i dać pod zasiew korca owsa i pod dwa korce bulw.



Tak się skarżył, dopóki na stole nie pojawiła się herbata (czyli grok) i gotowane jajka, które rad spożywa. Przy picciu zarumieniała się twarz jego i zachęcał do dolania araku, »bo to dobrze, jak cłojeka rozgrzeje krzynke« (nieco).

Pożegnałem go z milszem, niż jego brata wrażeniem; a rad byłem, żem poznał i zamożniejszego »gbura«, aby mieć wyobrażenie o różnicy. Stosunków ubogiego chałupnika nie trzeba kreślić; wobec poprzednich, łatwo sobie je wyobrazić można.

Taki jest szkicowy obraz Mazurów wschodnio-pruskich.

## II.

### NA MAZURSKIM POJEZIERZU.

*Lec* (*Lötzen*) na pozór niczem się nie różni od tuzina innych miasteczek powiatowych, rozsianych na piaskach Mazowsza pruskiego. Taki sam szablonowy dworzec kolei, taki sam z czerwonej cegły budynek pocztowy, tacy sami na ulicach stójkowi w pikelhaubach i taki sam na placu *Kriegerdenkmal*, na którego cokole błyszczą dziesiątki nazwisk polskich, skoszlawionych pisonią niemiecką; pod szumnem hasłem: *für Kaiser und Vaterland* legły te Bartki, Kaspry i Michały, pod Metzem, Sedanem lub Gravelotte... A przecież ma *Lec* czyli zniemczały *Lötzen* swą własną fizyognomię, która go stanowczo indywidualizuje: leży on na wązkim pasie między dwoma jeziorami, Lewentyńskim i Kisańskim (wyżej Niebolskiem zwanem) i jest emporyum handlowe dla parowców, kursujących na północ do Węgorborka, a na południe przez Mikołajki do Rudzian. I Węgorbork i Rudziany mają już kolej żelazną i towary tu dostawione idą dalej lądem.



W piękny, choć chłodny poranek majowy, znalazłem się na parowcu »Löwentin«, mającym odpłynąć do Rudzian i na jezioro nidzkie (*Nieder See*). Bojąc się spóźnienia, spieszyłem, ile możliwości, i przeraziłem się poważnie, usłyszawszy w drodze gruby gwizd parowca; tymczasem nie tylko, że czasu do odjazdu było dosyć, ale nadto mało było dotąd na pokładzie osób; gwizdnięcie zaś było sygnałem dla wozu z kilkudziesięciu beczkami piwa nadjeżdżającego, aby prędzej przybywał. Zanim naładowano piwo, stawiając nawet na pokładzie liczne beczki, upłynęło dobre pół godziny, a może i więcej; świadomości niepunktualności odjazdu przybyli na czas, a kapitan dał dopiero wtedy znak do odbicia, kiedy nikogo już na drodze nie dojrzał, a beczki obciążyły parowiec nawet ponad normalną miarę.

Wy płynęliśmy z bardzo prymitywnej przystani na pełne jezioro. Podnoszące się coraz wyżej słońce, poczęło sieć ciepłymi promieniami unoszące się nad wodą opary, które rychło opadły, gnane lekkim wiatru powiewem. Naokoło widać było brzegi jeziora niskie i bez uroku; tu i tam jakiś dom biały lub wysmukły dąb, albo laszek świerkowy i to wszystko. Powoli malały niewielkie domy Leca, aż spłynęły w jedną wydłużoną plamę.

Tymczasem południowo-zachodnią część jeziora, którąśmy płynęli, poczęły ścisnąć brzegi: na prawo zostały Strzelce, Bogaczewo — małe osady polskie, przed nami wzrastała wyniosła wieża kościoła rydzewskiego. Brzegi, teraz więcej interesujące, zwężają się tak, że je łączy most, popod który kanałem przesunąć się musi parowiec, w biegu zupełnie wolnym. Poza mostem jest już jezioro jagodzińskie, mające nazwę od Wielkiego Jagodnego i Małego, które leżą na lewym brzegu prawie przy obu końcach jeziora.

Przy Małym Jagodnem jest dość zajmujący długi język lądu, wciskający się w jezioro, a zarosły cały liściastymi drzewami, które tworzą park naturalny. Oprócz tego do znacznej odległości płaskiej mielizny rośnie gęsto trzcina, dając schronienie stadom dzikich kaczek i gęsi.

Przy Jagodnem omal nie było przypadku. Jakaś Niemka miała tu wysiąść, ale, że parowiec nie może zbliżyć się do brzegu wypłynął po nią przewoźnik na małej łódce. Czy nie dosyć doświadczony, czy nie zupełnie trzeźwy, dał się porwać wirowi spienionej śrubą wody i zamiast się zbliżać, oddalał się z falami od parowca, który tymczasem prawie stanął. Po długiej walce zbliżył się wreszcie do boku okrętu, ale uderzywszy za silnie o jego korpus, znowu się odsunął w chwili, kiedy pasażerka już chciała wskoczyć

do łódki i jedną nogę stawiała na jej brzegu. Gdyby nie pochwycenie jej przez maszynistę, byłaby wpadła do wody niechybnie. Kiedy się wreszcie dostała do mokrej łodzi, a jej Charon odbił, fale sunącego naprzód parowca długo miały wątlą łupiną i kołysały tak, że obecne na pokładzie panie kilkakroć wydały okrzyk przeżenienia, bo się zdawało, że się łódka już przechyla. Dopiero kiedy odważna Niemka stanęła na brzegu i chustką poczęła dawać znaki w stronę parowca, rozległy się oklaski, wiewanie chustkami i okrzyki: *A braves Mädel!*

Towarzystwo składało się istotnie z Niemców lub prawie z Niemców, bo jestem przekonany, że żaden miejscowy Mazur, choćby go zagadnąć po polsku, nie przyznałby się do znajomości tego języka. Jeszcze w okolicy Łku mogłoby się to stać łatwiej, ale tu, rzeczby to była niebywała. Jeżeli Mazur taki należy do ludu, a znajdzie się w stosunku zależności do Niemca, nie może się zdradzić ze swym językiem, boby stracił miejsce; jeżeli zaś należy już do pewnego rodzaju inteligencji, przeszedł poprzednio jakieś szkoły, w których mu dostateczną ilość kultury niemieckiej wlało do głowy, a wyśmiano wszystko, co polskie i słowiańskie.

Na parowcu utworzyło się trzy grupy: do najliczniejszej należało trzy starsze kobiety i je-

dna młoda, a te nieustannie trzepały językami, aż do szumu w uszach, drugą tworzyła jakaś młoda para turystów spoglądająca więcej na siebie, niż na okolicę, i wreszcie samotny kapitan pruskiej piechoty, dobywający co chwila inną mapę z przybocznej torby i studyjający okolicę zawzięcie, jakby już jutro miało nastąpić jej ufortyfikowanie lub potrzeba obrony. Syn Marsa nie przestał tu nawet staczać bezkrwawych utarczek, wodząc palcem po mapie.

Niebawem dobył binokle i począł śledzić otaczające nas brzegi jeziora. A już też widoczna była gruba wieża w Szymionkach i coraz wyraźniej występowały przytulone do niej większe i mniejsze domy. Błądząc z przedmiotu na przedmiot oko darmo szukało tu ujścia jeziora, któreby dalej płynąć było można. Z ciekawością tedy uważali wszyscy, w jakim parowiec popłynie kierunku; nikomu na myśl nie przyszło, że niebawem wpłyniemy w kanał.

Zbliżyliśmy się do mostu łączącego przez kanał drogę z Szymionek ku miastu Rynowi. Parowiec zwolnił biegu, komin blaszany zgięto w tył — wszyscy się pochylili, lub przykucnęli i powoli znaleźliśmy się poza mostem u początku kanału łączącego jezioro jagódzieńskie z szymiońskim. Kanał to na 12 m. szeroki, a nie więcej jak  $2\frac{1}{2}$  metra głęboki, zmusza parowiec

do ostrożnego i wolnego posuwania się naprzód, tem więcej, że prawie w połowie linia jego prosta łamie się i drugie to ramię tworzy z pierwszym kąt rozwarty.

Zaraz poza mostem parowiec przystanął. Trzeba było wyładować kilka beczek piwa, a natomiast przyjąć dwie beczki jakiegoś płynu tłustego lub smarowidła. Pierwsze udało się dobrze, drugie doznało przeszkód i wywołało komiczno-tragiczne intermezzo. Beczki do ładowania były znacznie większe, niż beczki piwne, a lubo wypukłość ich boków była mniejsza, trzeba było wprawy wielkiej, aby na wąską deskę, służącą za pomost, wtoczyć beczkę równo. Z jedną jakąś to poszło, druga pomimo komendy i nawoływań, wpadła w wodę. Z pomocą lin nic się nie dało zrobić, bo brzeg prostopadły, zakończony opłotkiem z wikli, wstrzymywał wytoczenie beczki na brzeg; dopiero z pomocą desek udało się wydobyć owego »wieloryba«, przyczem jeden ze służby parowcowej ukąpał się poniewolnie, chociaż tylko po pas; opłotek uratował go od zanurzenia się w mule, a może i skrycia się pod spód parowca.

Okolica nad kanałem szymiońskim należy do najnudniejszych, jakie tu można napotkać. Błotniste łąki i bagniska torfiaste ciągną się nieprzerwanie po obu stronach kanału i zaledwo



tu i owdzie w oddali dostrzedz można drzewo. Szczęściem, pomimo wolnej jazdy, kanał przebywa się dosyć szybko i wpływa na małe jeziorko, aby z niego dostać się znowu kanałem do większego Taltowiska. Przy tem jeziorze ma parowiec znowu do przebycia wązki kanał nakryty mostem, leżącym na szosie z Mikołajek do Rynu. Z daleka widać było kilka osób, czekających na moście, później nadjechał powóz i przystanął, wreszcie w całym pędzie wpadł cyklista, a spostrzegłszy parowiec tuż prawie przy moście, zatrzymał się również.

*Servus Eduard!* krzyknął ku nam, a na głos ten, zerwał się kapitan i począł ręką machać ku mostowi.

W tej chwili zgiął się komin, kapitan okrętu krzyknął *hocken!* (przykucnąć!); szczęściem dla rozczulonego piechociarza ławka obok niego była próżna, więc rzuciwszy się na nią, uniknął powalenia.

Jeszcze chwilę tylko trwa jazda Taltowiskiem, potem jeszcze jeden kanał krótki i wpływamy na jezioro Ryńskie (zwane także *Talten*), mające długości około 20 kilometrów, a szerokość bardzo rozmaita od  $\frac{1}{2}$  do 2 kilometrów. Brzegi jego są znacznie wyższe, miejscami dosyć strome, głębokość zaś ma być między wszystkimi jeziorami mazurskimi największa. Ze zmianą

kierunku jazdy z zachodnio-południowego na południowy, poczyną wiatr dość ostry niedyskretnie zdzierać woalki z twarzy niewieścich, a szczypać nawet dosyć opalone oblicza służby okrętowej. Wszyscy owijają się, jeśli tylko mają pod ręką co cieplejszego, pruski kapitan podnosi kołnierz płaszcza w górę i razi czerwoną jego podszewką; ja, chociaż nie mam podobnej podszewki, czynię to samo, bo uszy moje są niezwykle tkliwe na zimno. Tylko rąk nie osłaniam, bo trzymam w nich momentalny aparat fotograficzny i oczekuję sposobności zdjęcia jakiego szczególnego przedmiotu lub widoku. Z boleścią w sercu dotkniętej do żywego ambicyi amatora, spostrzegłem, że mnie już uprzedzono i wyręczono; w kajucie zawieszono za szkłem wzory, a u służącego można je wszystkie otrzymać chociaż za cenę dosyć wygórowaną. Chociaż się tedy zbliżamy do Mikołajek, ja chowam aparat do torby, bo Mikołajki mam na kupionym światłodruku.

Przy skręcie pod most i ku przystani czuła odbyła się scena. W ogrodzie, przylegającym jednym bokiem do kościoła, drugim do brzegu jeziora, stały dwie damy i na widok parowca poczęły powiewać chustkami. Z naszej strony w grupie dam zrobił się ruch, potem okrzyki; puszczono w ruch również chustki, a wkrótce



i języki, bo odległość pozwalała głos usłyszeć. Scenie tej położyła koniec nieubłagana konieczność pochylenia się i to znacznego, aby belki mostu nie »zestrychowały« z pokładu nieogłędnych.

Parowiec stanął w mikołajeckiej przystani, w której się zaroilo głównie od dzieci. Poczęto wyładowywać piwo; — część podróżnych wysiadła, a chociaż miałem ochotę poznać miasteczko (nazywane przesadnie przez Niemców »Wenecją mazurską«), wstrzymałem się od tego pod wpływem uwagi kapitana okrętu, że odbijamy zaraz po wyładowaniu, a że dopiero w powrocie zatrzymuje się tu parowiec na całą godzinę.

Nie miałem zamiaru powracać tylko dla tego, aby Mikołajki poznać; z bólem serca więc musiałem swoje obserwacye ograniczyć na tem, co mi los nasunął na moście i na brzegu przystani. Otóż najpierw zauważyłem, że ludność tu jest polska, bo niewątpliwie Polakiem był ów parobek, który spiesząc drogą ku parowcowi, widocznie wołany przez kogoś, wołał, że »musi iść po psiwo« — a zapewne i jego interlokutor musiał tego samego używać języka, bo wątpię, czyby się w innym był mógł z nim porozumieć. Stwierdziłem również prawdę po wielokroć stwierdzoną, że płeć piękna korzysta chę-

tnie z każdej okazji, jeżeli tylko może się pokazać, zwłaszcza obcym; gdzie niema stacyi kolei żelaznej, tam używa się ku temu choćby lichej przystani, a ponieważ przy niej niewielka promenada, więc choćby niewygodnego i trzęsącego się mostu. Czerwone, zielone i fioletowe parasolki wyglądały na nim jak olbrzymie maki...

Zauważyłem wreszcie, że nietylko w kraju ojczystym, ale i tu w *Masurenlandzie* nie mam szczęścia — do kobiet. Korzystając ze sposobności, chciałem kilka postaci, wraz z mostem i przystanią, przekazać potomności zapomocą klisz fotograficznych; tymczasem nieprzyjazne losy w tej chwili, kiedym już miał nacisnąć sprężynkę migawki, zesłały gwałtownego Eola, który wszystkie postacie na moście odwrócił odemnie, jak chorągiewki a kiedym chciał szkodę naprawić, grupa malownicza rozstrzeliła się, a parowiec, odsuwając się od brzegu, popadł w nerwową drżączkę, utrudniającą zdjęcie fotograficzne, nawet momentalne. Ile potomność na tem straciła, nie umiem objaśnić, ale ja straciłem wiele, bo wiarę — w siebie...

Mikołajki tedy pozostawiły w mej duszy elegijne wspomnienie. Szczęściem nowe wrażenia zatarły niedawne; bo oto kapitan okrętu, obserwujący moją żyłkę fotograficzną, raczył przemówić do mnie z wysokości swego kapitań-

skiego pomostu i zwrócić mi uwagę, że wpływamy na jezioro Beldan i że niebawem będziemy mijać ujście jego w ogromny *Spirding*. Ów *Spirding* to polskie »Śmiardwy«, największe obszarem jezioro mazurskie, którego się jednak nie zwiedza, ale tylko obok niego przepływa. Jezioro to bez mniejszych i większych odnóg, obejmuje powierzchni 102 km  $\square$  i daje złudzenie pełnego morza, bo się brzegów przeciwnych nie dostrzega; tylko w południowo-wschodnim kącie czerni się jeden punkt: to wyspa i warownia »Ełkiem« zwana.

Chwila oglądania tego jeziora trwa literalnie tylko minutę; brzegi się znowu zsuwają i dalekie płaszczyzny zasłaniają drzewa. Mijamy na lewo Wierzbę, osadę polską, i wpływamy w precudowny park, przerznięty głębokim i długim, ale wązkim pasem jeziora. Właściwością Beldana jest gęste zalesienie obu jego brzegów i to przeważnie drzewami szpilkowemi. Brzegi wysokie, a nawet strome, a na nich tu i ówdzie dąb lub inne jakie drzewo liściaste, nadają krajobrazowi wiele różnaitości i wdzięku. Majestatyczny spokój, przerywany chyba śpiewem ptaka, usposabia nawet nie-romantyka do poważnej zadumy i podziwu dla przepięknej natury. Obrazy te przesuwające się przed okiem na sposób kalejdoskopu, tem więcej niewolą zmysły,

że przedtem nic się podobnego nad jeziorami nie spotkało, owszem nad wszystkim prawie ciążyła — nuda.

Przygłuchy jęk parowca budzi z zadumy. Poczuliśmy skręcać w prawo wąską szyją, zwężoną jeszcze bardziej wysoką trawą wodną i mnóstwem tratew, zbitych z drzewa, przeznaczonego do tartaku. Robimy łuk w lewo, ostrożnie się między tratwami przesuwając i spostrzegamy wielki tartak wodny, a naokoło niego stosy trocin. Podróż wydaje się być skończona, naokoło niema wyjścia, jakiś kanał zamknięty mostem, wysokim i palisadą.

Parowiec przybija do brzegu i staje. Jesteśmy w Gusiance. Niektórzy podróżni opuszczają pokład, ja pytam, czy to już koniec jazdy.

Nie — musimy tylko zaczekać, aż przez śluzy przejadą tratwy z jeziora gusińskiego, leżącego o 2 m. wyżej od Beldana. Istotnie otwarto rodzaj ogromnej, z belek skonstruowanej bramy, woda wyższego jeziora napełniła śluzę, w którą wpłynęły dwie tratwy. Następnie zamknięto poprzednią bramę, a otwarto pierwszą przed nami: woda poczęła odpływać, aż się tratwy obniżyły do poziomu ogólnego i wtedy przepłynęły koło parowca, a on na ich miejsce wpłynął do śluzy. Nastąpił proces odwrotny, niż z tratwami: najpierw zamknięto za nami śluzę, potem po-

woli puszczano wodę, aż się poziom śluzy zrównał z jeziorem gusińskim, poczem parowiec ruszył dalej.

Krajobraz leśny trwa bez zmiany, ale podszycie drzew szpilkowych i płaskie brzegi nadają mu odmienny charakter. Małe jeziorko przebywa się rychło i staje w przystani rudziańskiej, otoczonej również licznymi belkami pływającymi przy brzegu, a należącymi do sąsiednich parowych tartaków.

Przystań rudziańska znajduje się tuż u mostu kolei, łączącej Łek przez Jansborg z Rudzianami. Most, jak wiele innych, a przecież nie brak było gości, którzy się mu dziwili, a nawet kupowali kartkę pocztową z widokiem tego nieśmiertelnego dzieła sztuki.

Mało podróżnych wysiadło, większość, z tymi, którzy tu wsiedli, okazała chęć zwiedzenia jeziora nidzkiego, połączonego kanałem krótkim z jeziorem gusińskim. Wpływamy tedy na coraz szerszy przestwór; charakter brzegów podobny do jeziora beldańskiego, ale specjalną cechą nidzkiego, są liczne, całe drzewami porośnięte wyspy, tworzące nader malownicze grupy.

Jezioro to tworzy trzy boki nieforemnego czworoboku od zachodu, południa i wschodu; bok północny tworzy linia kolei żelaznej, przecinająca ogromny bór jansborski. Gdyby dalsze



jeziorka były połączone kanałami, możnaby stąd podpłynąć aż pod Jansborg, a potem przez jezioro warszawskie i dalsze dwa mniejsze, dostać się do Śmiardw od strony wschodnio-południowej.

Tak nam objaśniał kapitan okrętu, ale ze względu na spóźnioną porę i potrzebę powrotu,

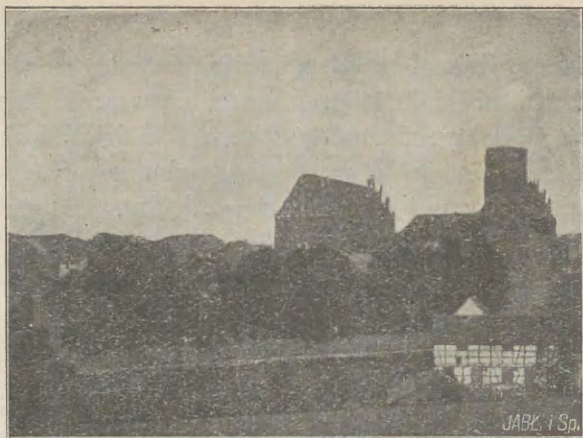


pokazał nam jezioro nidzkie tylko może w  $\frac{1}{10}$  części, eksplikując, że dalej takie samo.

Wróciliśmy tedy do przystani rudziańskiej. Pociąg, który mnie miał powieźć dalej do Szczytna (*Ortelsburg*) i Olsztyna (*Allenstein*) na Warmii, miał nadejść dopiero o godzinie 3, a teraz była 12 w południe. Skorzystałem tedy z pożądanej przerwy i zapuściłem się w głęboki bór sosnowy, napawając się balsamicznem powie-



trzem. Zbierałem też wrażenia przebyte w dniu tym i nie żałowałem tego punktu programu w podróży; poznałem bowiem najciekawsze okolice Mazowsza pruskiego, cechujące wybornie kraj cały i dziwiłem się w duchu, że dotąd nikt z polskich turystów w tę stronę kroków swoich nie zwrócił.



### III.

## W PRZEJEŹDZIE PRZEZ WARMIA.

Przyjechałem do Olsztyna w chwili, kiedy całe miasto było pod wrażeniem strasznego wypadku, jaki się zdarzył tego samego dnia przed południem. Na bryczkę wiozącą czterech myśliwych, między nimi inżyniera z Olsztyna, wpadł na rampie pociąg, jadący od Jansborka: ocalały konie i potłuczony woźnica, wszyscy zaś czterej myśliwi na miejscu śmierć ponieśli. Dziwić się wypadało, że takie wypadki nie zdarzały się codziennie: kolej bowiem, łącząca Łek, Jasnborg, Szczytno i Olsztyn jest drugorzędną i niema ani ramp, ani budników i tylko

osobliwy mechanizm, przymocowany do koła maszyny, porusza dzwonek na przodzie umieszczony, który miarowo i nieprzestannie dzwoni podczas jazdy. Gdy panują wichry, dzwonka nawet z bliska nie słyszać i wozy przez tor przejeżdżające codziennie zmiażdżone być mogą.

Stolica Warmii polskiej, Olsztyn, rozwija się szybkim tempem. Później niż inne części Prus odcięta od Polski, mieści w sobie wiele polskich wspomnień. Zamek, zbudowany przez Krzyżaków, na wyniosłości znacznej nad rzeką Łyną (Alle stąd Allenstein), składa się z dwu skrzydeł i frontu; od miasta wiedzie do niego wysoka grobla, niegdyś most zwodzony. W zachodnim skrzydle zachowana bardzo dobrze okrągła baszta, we wschodnim kaplica zamkowa, rozmiarów kościoła, dziś — magazyn wojskowy. Kiedy się przypomni Malborg i olbrzymie nakłady na odnowienie i utrzymanie dawnej stolicy krzyżackiej, nie pojmuje się zaniedbania zamku olsztyńskiego. Obok mniej ciekawego ratusza na środku rynku prostokątnego, otoczonego w części domami starymi z t. zw. podcieniami, zasługuje jeszcze na uwagę brama w części wschodniej starego miasta, na końcu ulicy Wyższej. Ta resztką dawnych murów, okalających miasto, miała również uleść zniszczeniu; zachowano ją jednak zeszpeciwszy przy-

budowaniem z lewej strony domu na pomieszczenie urzędu a bramę zamieniwszy na policyjne więzienie. Piękny, wielki kościół katolicki, zbudowany w czystym gotyku, zeszepecono półkolistem sklepieniem w stuleciu ubiegłym.

Poza starą częścią miasta rozwija się we wszystkich kierunkach miasto nowe, zawierające domy nawet gustownie budowane; uderza jednak osobliwie zamiłowanie czerwonych murów (t. zw. Rohbau) bez tynkowania i bielienia.

Ludność jest przeważnie katolicka i polska, a nawet nie trudno wyczytać na szyldach kupieckich nazwisk czysto polskich jak Mondry, Rogalla, Lubowski, Barwiński, Jastrzebski. Niemcy mówią również miejscową gwarą. Powiat olsztyński jest cały polski, z wyjątkiem pasu północnego; poza nim tylko parę wsi w północno-wschodnim powiecie reszelskim, można zaliczyć do polskich.

Dla polskości nastają jednak czasy coraz gorsze: rodzice mówią między sobą po polsku a do dzieci po niemiecku, bo one w szkole tylko tego języka się uczą. Naturalnie każdą taką rodzinę zaliczy się przy spisie do Niemców, bo jej *Umgangssprache* czyli językiem towarzyskim jest język niemiecki.

Oprócz szkoły działa i Kościół na szkodę języka polskiego. Chociaż katolicy a nawet Po-

lacy, alumni w seminariach są wychowywani w duchu niemieckim. Tu i owdzie znajdzie się gorliwego Polaka, ale często zawiedzie nazwisko polskie. Ustępowanie mniejszości niemieckiej, odprawianie dwojakiego kazania, najpierw niemieckiego, potem polskiego, unikanie zetknięcia się z inteligencją polską, aby nie być posądzonym o *grosspolnische Agitation*: to wszystko cechuje duchowieństwo tutejsze, które przy dobrej woli i bardzo korzystnem materyalnem położeniu mogłoby zrobić bardzo wiele. Może misye, odbywane między ludem tutejszym przez misyonarzy z Krakowa, przyczyniają się nieco do ożywienia poczucia narodowego, przez słuchanie kazań w języku ojczystym.

Jedynе polskie czasopismo *Gazeta Olsztyńska*, wychodzące trzy razy tygodniowo i broniące wytrwale interesów ludności polskiej na Warmii, nie doznaje dostatecznego poparcia między ludem, a to wskutek obojętności lub nawet niechęci duchowieństwa do wybitnie polskiego charakteru tej gazety.

Nie lepiej tu tedy niż na protestanckich Mazurach pomimo bliższych tradycji historycznych i katolicyzmu.

Nie mając zamiaru dłużej bawić w Olsztynie, zasiągnąłem informacyi w redakcyi *Gazety Olsztyńskiej* i ruszyłem nazajutrz do Brunswaldu.

Brunswald leży na północ od Olsztyna, w odległości niespełna dwu mil i jest wsią czysto polską; wsie dalej na północ wysunięte są już mieszane i coraz więcej niemieckie. Aby uzyskać jak najwięcej danych co do charakteru ludności i stosunków etnograficznych, polecono mi gorąco udać się do księdza proboszcza w Brunswaldzie. Nie miałem jednak szczęścia: ks. proboszcz wyjechał na jakieś posiedzenie do Olsztyna i tyle tylko mogłem się przysłuchać mowie ludu tamtejszego, ile zdołałem pochwycić sposobności podczas pobytu w karczmie na obiedzie i w drodze do pociągu do Beyfrieda. Mowa ta zbliżona do mowy Kurpiów z Puszczy Zielonej, ale ma znaczne różnice: obok *psić* (= pić), *ziency* (= więcej), napotykamy *mnila* (mila) i charakterystyczne przejścia *a* na *e* a grupy *fi* na *ši*: *tresi* (trefi). Spółgłoska *ł*, wymawiana zupełnie wargowo, daje z *u* prawie dźwięk jeden: *kole muna* (koło młyna). Uderzyła mnie również starożytna forma *u naju* (u nas). W budowie chat i całem obejściu zauważyłem mniejszą zamożność, niż w Prusiech Wschodnich i mniejszą też schludność. Przychodzący do gospody mówili wyłącznie po niemiecku; zagadnieni przeze mnie po polsku albo się nic nie odzywali, albo niewiele.



Drugiego dnia udałem się przez Bizele do Gietrzwałdu.

Widny z daleka szczyt wieży gietrzwałdzkiego kościoła był mi drogowskazem w wędrówce pieszej. Nim się kierując, skróciłem sobie drogę ścieżynami przez łąki i napawałem się niepospolitą krasą majowej zieleni i kwiecica. Gietrzwałd przez cudowny obraz Matki Boskiej i częste a głośnie nie tylko na Warmii odpusty przybrał cechę miasteczka: sklepy, gospody i rzemieślnicy składają się na jego mieszkańców, skupionych około kościoła; dalej dopiero ujrzy się wieś właściwą.

Zapukałem do p. Samuelowskiego, tutejszego księgarza i kupca artykułów dewocyjnych, i otwarto mi gościnne podwoje. Pomimo chwilowego niedomagania sam gospodarz domu oprowadził mię po wsi, po kościele, pokazał miejsce, na którem M. Boża ukazać się miała, a wieczorem w dłuższej pogawędce informował mię o stosunkach językowych okolicy, o ile ją znał dokładnie. Oto w Gietrzwałdzie, podobnie jak w Prusiech, grupa *wi* wymawia się jak *zi* a *fi* jak *si* (zidział, zino, mózi, na zięki zięków, zitajcie do nas, zosieruj...), *cz* wymawia się jak *ć* (ćas); *e*=*am*, *en*: śwanty, gamba, bandzie, obok *gajsto* (gęsto). Z osobliwych wyrazów zanotowałem *szurka* (chłopiec), *kiżlak* (żrebię), *mnieuk*

(młody wół), *néga* (reszta). Z okolic dalszych charakteryzuje okolicę Wartemborka przegłos *a* na *e*: *lentrat* (Landrat), *reno* (rane), farę zaś Gryźlińską na Warmii zatrata nosówek: *miaso*, *gaś*, *pazel*, (*pędzel*), *modla sia* i t. p.

Lud sam charakteryzował jako pobożny i pracowity, ale ze słabem poczuciem narodowem. Warunki pracy oświatowo-narodowej niezmiernie trudne.

— Gdybyśmy mieli tyle wolności co wy w Galicyi — mówił — cobyśmy tu mogli zrobić...

Znał dosyć dobrze stosunki galicyjskie, a niestety temu wszystkiemu nie mogłem przeczyć, bo w jego uwagach pesymistycznych było wiele słuszności.

Prawie o wschodzie słońca zerwałem się nazajutrz i korzystając z przepięknego poranka, poszedłem dalej poza »rynek«. Odetchnąłem nie tylko balsamicznem powietrzem, ale wdychałem naokoło atmosferę czysto polskiej wsi. Na jawie, nie w marzeniu tylko obserwowałem, jak coraz częściej wydobywały się słupy dymu z chałup: na obejściu słyszać było gdakanie kur, potem głosy nawoływania gospodyni, wreszcie sznurkiem kroczyło bydło w pole, poganiane przez zaspanych jeszcze pastuchów. A słońce podniósłszy się do znacznej już wy-

sokości, igrało pryzmatami rosy i otwierało  
kielichy kwiatów łącznych, roznosząc pasami  
woń świeżą i krzepiącą...

Przeniosłem się myślą pod Kraków i czułem  
to samo tchnienie ojczyzny...

Póki w piersiach tchu nam stanie,  
Pótyś jeden nam i cały,  
Drogi, polski łanie! (*Jan Sawa*).



IV.

## NAD ZATOKĄ PUCKĄ.

Puck posiada dopiero od lat kilku regularne trzechkrotne na dzień połączenie z główną linią Gdańsk-Szczecin, wskutek czego nawet w dnie burzliwe, gdy parowce kursować nie mogą, otrzymują Pucczanie świeże dzienniki i potrzebne zapasy — bawara. Oprócz tego spodziewają się mieszkańcy tej okolicy północnych Kaszub, że z nastaniem lepszej pory i prawdziwego lata, przywiozą im pociągi kolejowe jaki taki zarobek w postaci gości kąpielowych. Nadzieje powinnyby się ziścić. Puck posiada z natury dość piękne położenie, po którego stosownem wyzyskaniu może się miasteczko stać wcale miłym miejscem pobytu w lecie dla tych,

którzy unikają gwarnych, wystawnych i względnie drogich Sobot (Zoppot), a przecież pragną pokrzepienia w kąpielach morskich.

W stosunku do niewielkiej liczby mieszkańców (około 3.000), jest Puck przyzwoicie zabudowany. Rynek prostokątny otacza wieniec jedno i dwupiętrowych kamienic, z których kilka nosi na swym froncie wyraźne znamiona kilkowiekowego istnienia. Nie brak i zieleni, szkoda tylko, że nie dosyć symetrycznie po całym rynku rozłożonej. Ponad szereg domów w północnej części rynku wynosi się czerwony dach i także mury katolickiego kościoła; wieża jego prostokątna i dach podobny, przypominają wieżę kościoła Najświętszej Maryi Panny w Gdańsku, tylko że tutejsza jest nieporównanie niższa. Kościół pochodzi z czasów jeszcze krzyżackich, zbudowany w stylu gotyckim; sklepienie wspiera się na sześciu bardzo grubych i ciężkich okrągłych słupach, które z architekturą stropu nie licują zupełnie. Wieża miała, według podania, być wyżej jeszcze wyprowadzona, ale zamieszki i wojny nie pozwoliły na to.

W południowo-wschodnim kierunku od skromnej przystani rozciąga się na niewielkiej przestrzeni promenada nadbrzeżna i mały, ale miły park szpilkowy, a częściowo mieszany.

Z brzegu tego, dosyć wzniesionego, obej-

muje się okiem całą zatokę pucką, ograniczoną na północy i północnym wschodzie wązkim u skraju horyzontu paskiem półwyspu helskiego, ginącym w południowo-wschodnim kierunku.

Czarny ten pas przerywa na północy kościół swarzewski (Schwarzau), a dalej ku wschodowi w pewnych odstępach bielące się piaski wybrzeża. Ku południowi ginie oko w bezbrzeżnem morzu.

Ludność Pucka, podobnie jak wszystkich miasteczek, jest przeważnie niemiecka, okolica atoli czysto polska, czyli kaszubska. Zarówno Gniezdzewo i Swarzewo na północy, jak Mechowa i Dażlub na zachodzie lub Połczyn na południu, są zamieszkane przez Kaszubów, a tylko *Amtsvorsteherzy*, karczmarze lub urzędnicy skarbowi, jeżeli są, liczą się do Niemców. Kaszubi sami, jak wiadomo, uważają się za Polaków, kazań i obrządków religijnych słuchają w języku polskim, czytają polską *Gazetę Gdańską*. W powiecie puckim mają ziemię stosunkowo dobrą, stąd znać we wszystkim dobrobyt. Nowsze budowle murowane i kryte dachówką wyglądają na dworki, zwłaszcza, że i inne budynki gospodarskie są porządne i obszerne; i stare domy z drzewa i cegły, pokryte słomianym dachem są wewnątrz obszerne,



z kilku izb złożone, widne i czyste. Umeblowanie nie jest wprawdzie wykwintne ale, jak na wieś bardzo przyzwoite; bywają nawet dosyć ozdobne szafy i komody, na podłogach chodniki z samodziąłu, a przy każdym oknie białe firanki. Pobożni i religijni Kaszubi mają wiele obrazów świętych i posągi Matki Boskiej z gipsu, które w maju ozdabiają kwiatami i zielenią.

Na stole pojawiają się u nich filiżanki i spodki, porządne widelce i noże, imbryki porcelanowe, czego np. u wieśniaka polskiego w Królestwie lub w Galicyi zupełnie się nie zobaczy. Jednego szkoda wielka, że porzucili zupełnie swój ubiór, a stroją się po miejsku, nawet w jedwabie i atłasy, stosownie do zamożności i okoliczności. Dzieci ubierają również<sup>n</sup> w modne ubrania, kupione w mieście i nie pozwalają im biegać boso, uważając to za dowód ubóstwa; przynajmniej grube pończochy i pantofle z drewnianym obcasem (zwane tu korkami) muszą dzieci wdziewać na nogi.

Mowa Kaszubów prawie w każdej wsi ma inne właściwości; wogóle gdy się ją pierwszy raz słyszy, czyni wrażenie mowy obcej, dopiero, gdy się lepiej wsłucha, widzi się pokrewieństwo blizkie, jeżeli nie dyalekt polskiego języka. Ale to kwestya sporna, co do której można mieć

różne zdanie, zwłaszcza, jeżeli się żywego słowa nie słyszało.

Rząd niemiecki radby Kaszubów izolować i wmawia w nich, że nie są Polakami. To też nic dziwnego, że czytanie przez nich polskich gazet i książek jest mu solą w oku.

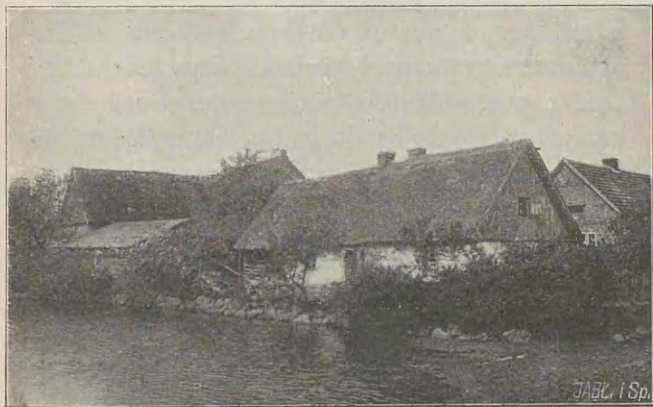
Każde usiłowanie rozbudzenia oświaty zapomocą polskiej książki lub polskiego odczytu bywa o ile można tłumione, każde zgromadzenie Kółek rolniczych, o ile istnieje, nie obejdzie się bez asystencyi policyi i żandarmeryi. Ale Kaszuba, wytrwały i zacięty, nic sobie z tego nie robi; podatki płaci, żandarmowi się kłania i idzie dalej swoim torem. Że jest Kaszubą w rzadkich wypadkach się tego wstydzi lub wypiera; i to poczucie i świadomość, ta ambicya sprawia, że wierzymy w dwuwiersz Derdowskiego:

Nigde do zgube  
Nie przyńdą Kaszube...

Pragnąc poznać lud nad zatoką pucką, wyruszyłem najpierw do Gnieźdżewa. Droga wiedzie w pewnem oddaleniu od błotnistego i trzciną zarosłego brzegu zatoki; z chwilą, kiedy z kierunku zachodniego przechodzi w kierunek północny, otwiera się na zatokę i Puck bardzo romantyczny widok. Po mglistym po-

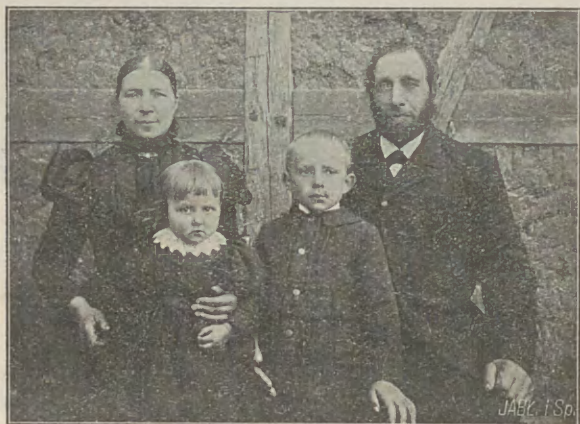
ranku poczęło się pogodzić ; kiedy nad bliższą częścią zatoki wisały jeszcze obłoki szare, część dalsza południowo-wschodnia lśniła już w promieniach słońca i rzucała na farę pucką i inne wyższe budowle szkliste refleksy. Do ubarwienia obrazu przyczyniały się niemało sieci rybackie, na drugim planie rozpięte na obręczach i przymocowane do tyk, wysokich, jak w chmielu.

Kiedym stanął w Gnieźdzewie i fotografowałem



pierwszą chatę, leżącą malowniczo nad stawem, już wieś cała tonęła w falach słonecznych. Doppytywałem się do poleconego mi wieśniaka i wszedłszy w kwadrat budynków gospodarskich, przekroczyłem próg domu leżącego na prawo. W izbie zastałem gospodarza z *Gazetą*

Gdańską w ręku. Powitał mię uprzejmie, pytał o znajomych z Gdańska, którzy mię do niego przysłali, a potem przeszedł do spraw swoich i użalał się na niedobrego sąsiada, z którym proces wieść musi. Tymczasem przyszła i gospodyni i na polecenie gospodarza zawinęła się około przysposobienia śniadania, w którym *mäso s prążnico*, t. j. jajecznica z wędzonką główną odgrywała rolę po dobrej kawie i obok wcale dobrego pieczywa (t. zw. *bucht*). Zaciekawionym, co noszę na sobie w torbie, ukazałem aparat fotograficzny i oświadczyłem, że ich chętnie z całą rodziną odfotografuję. Gospodyni zabłyszczały oczy z radości, poczęła wołać dzieci (*Podesà!*), aby wdziały nowy, świąteczny *uöblèk*,



ale chłopiec starszy niezbyt skwapliwie słuchając matki, musiał dostać napomnienie i tak się rozbeczał, że zaledwie po dłuższym czasie można było usadzić go do zdjęcia. Naturalnie prócz samych typów twarzy charakterystycznych, ale zupełnie nie ładnych, nie zyskałem na fotografii nic więcej, ani śladu ubioru ludowego kaszubskiego, lecz zupełnie miejskie i modne kostyумы.

Po fotografii poszliśmy z gospodarzem kawałek wsią, aby ją nieco poznać. Z porównywania mowy gospodarza i gospodyni i innych napotykaných mieszkańców Gnieźdźewa wyniosłem to przekonanie, że mój gospodarz nie mówił ze mną czystą swoją gwarą kaszubską, lecz naginał ją do języka literackiego polskiego; widziałem bowiem u niego nie tylko *Gazetę Gdańską*, ale liczne wydawnictwa tego samego nakładu i inne książki polskie religijnej i świeckiej treści. Domy w Gnieźdźewie nie równe są postacią, niektóre murowane i kryte dachówką, z obszerną oborą i budynkami gospodarskimi wyglądają na folwarki, inne są niższe i słomą kryte, ale obszerne i schludne. Gnieźdźewianie są przeważnie zamożni; mój gospodarz n. p. posiadał 2½ włóki gruntu ornego, t. j. około 75 mórg. Niemców wśród nich mieszka tylko trzech, a więc wieś na wskrós polska.



Kiedym się zabierał z powrotem, zapraszali, by pozostać dłużej i żałuję, że tego nie uczyniłem, spiesząc się podług programu znowu w inną stronę po południu.

Była to Mechowa, wieś położona na zachód od Pucka, prawie na granicy obszaru kaszubskiego.

Dzień był ciepły i słoneczny, a jak na maj nawet za ciepły, kiedym kroczył przez Połcyn i Dażlub ku Mechowej. Chaty wieśniaków tujejszych sprawiały na mnie wrażenie, że są uboższe niż w Gnieźdźewie, natomiast kształtem swoim i strzechą nieraz omszoną, wydały się więcej swojskie. Nie chcąc się błąkać po wsi, nieznany wśród nieznanych, zwróciłem się ku plebanii i zastałem szczęśliwie księdza w domu. Przyjęty z pewnem niedowierzaniem i zrozumiałą nieufnością, potrafiłem jednak powoli przełamać lody i jakie takie zebrać informacye.

— Czy lud tutejszy uważa się za Polaków?

— Odpowiedź wprost na to jest trudna. Musi pan wiedzieć, że lud nasz identyfikuje polskość z katolicyzmem i to do tego stopnia, że »Polak« to u niego to samo, co katolik, a Niemiec to luter. W tem znaczeniu lud się uważa za polski, »nasze« u niego to znaczy polskie. Na tym też gruncie będzie bronił swej »polskości«



z uporem przysłowiowym kaszubskim — do upadłego.

— A czy nabożeństwa i modlitwy w kościele odprawia się po polsku? Kazania są polskie?

— Język polski jest u nas językiem kościelnym od wieków i tego stanu posiadania broniśmy zacięcie. Były nawet z tego powodu targi między konsystorzami a rządem, i jeżeli germanizacya gdzie postępuje, to bardzo powoli i tylko na gruncie katolicyzmu. Rozpoczyna się od tego, że nawet dla kilku Niemców w miejscowości zamieszkałych żąda się kazania niemieckiego raz na miesiąc, lub co dwa tygodnie, potem idzie to dalej... chociaż nie wszędzie. Proboszcz, który ulegnie naciskowi rządu, straci zaufanie parafian. My starzy, którzyśmy wzrosli w innych czasach, na te nowostki się nie puścimy, ale kler młodszy, inaczej wychowany... Co będzie, trudno przewidzieć...

— Widziałem u ludu *Gazetę Gdańską* i inne książki polskie; więc czytają po polsku?

— Niewątpliwie, i czytają wiele, bo u nas analfabetów niema, ale właśnie to, że czytają wszyscy, ułatwia wstęp i niemieckiej książce i różnym wpływom postronnym. Oparcia zaś lud niema u nikogo poza kościołem, bo u nas niema inteligencji kaszubskiej. Skoro ukończył szkoły i został urzędnikiem, zapomina o swo-

jem pochodzeniu i to jest rzecz najsmutniejsza. Nie mając własnej kultury i literatury, oddaleni od ognisk życia polskiego, nie znając Polski ani przeszłej, ani teraźniejszej, lud musi upatrywać w Niemcu inteligenta, w kulturze niemieckiej ów świat wyższy, który mu imponuje, a imponuje mu celowo każdą manifestacją, festynem, paradą, a nawet i butą pruską.

— A dlaczego lud tak nieufny do Polaków? W przechodzie przemawiałem po polsku, chwaliłem Pana Boga, ale albo nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi, albo niemiecką.

— Niech się pan temu nie dziwi. Kaszuba jest z natury skryty i podejrzliwy. Ponieważ Polaków widzi rzadko, albo ich nie widzi nigdy, z podziwu zapomina języka w gębie, bo mu tak ta mowa brzmi dziwnie w ustach inteligenta. Boi się zaś, aby to nie była jaka podrywka ze strony Niemca i żeby się otwartą swą mową nie naraził na pośmiewisko. Wszak pan wie, że nie lubi, aby do niego przemawiać jego narzeczem, on rozumie mowę polską, więc po co mu się wydrzeżniać, — jak on rozumuje.

— Czy oprócz języka są jeszcze ślady swojskiego stroju, swojskiego sposobu budowania chat, zwyczajów i obyczajów?

— Znajdzie się to jeszcze, znajdzie, ale już niewiele.

Właśnie nadszedł mężczyzna młody, ubrany po gospodarsku, z jakąś miarą w ręku.

— To mój p ó ł b r a t — przedstawił mi go ksiądz proboszcz, a kiedy dostrzegł pewne zdziwienie na mej twarzy, objaśnił zaraz dalej:

— Bo my tu po polsku nazywamy francuskiego k u z y n a *półbratem* i myślę, że trafnie.

Niewątpliwie, że bardzo trafnie, a jaka szkoda, że ten wyraz nie wejdzie w użycie powszechne.

Miało się ku wieczorowi, więc zabrałem się z powrotem. Obejrzałem jeszcze kościół, nie przedstawiający nic osobliwego, i ruszyłem szparkim krokiem do Pucka na noc. Byłbym chętnie pozostał tu do dnia drugiego i ludowi przypatrzył się z blizka, ale kiedy przymówek moich nie chciał czy nie mógł ksiądz zrozumieć, narzucać się nie mogłem.

Kiedym pożegnał księdza proboszcza i ruszył wsią dalej, spotykałem wracających z pola i mężczyzn i kobiety. Widocznie dostrzegli mię w towarzystwie księdza, bo mię każdy teraz witał katolickiem pozdrowieniem:

»Niech bandze pochwalony...«

## W SZWAJCARYI KASZUBSKIEJ.

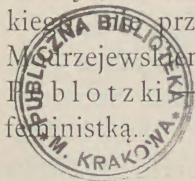
Redaktor *Gazety Gdańskiej*, opowiadając mi o Niemcach na Kaszubach, nie pominął zaznaczyć, że istnieją Niemcy uczciwi, którzy szanują pamiątki polskie i przyjaźnie wyrażają się o Polakach. Między innymi zwrócił mi uwagę na poemat Em. Vogelgesanga p. t. *Das Tränentor* (Brama łez), w którym autor nazywa kraj kaszubski, otoczony wieńcem gór zielonych i cichemi dolinami, prawdziwie pięknym krajem (*das schöne Kassubenland*), utrwała tradycję, że Sobieski podarował Kaszuby zwycięskim bohaterom z pod Wiednia, i wielbi piękność doliny Redy i Cedronu, gdzie żyją wspomnienia rycerzy pogrzebanych pod górą zamkową.

— Około Kartuz — mówił wspomniany redaktor — mamy dość wysokie wzgórza i piękne jeziora, mamy swoją »Szwajcaryę«, którą zobaczyć warto.

A więc chociaż deszcz chwilami strugami leje, chwilami tylko mży i rosi, wyruszam

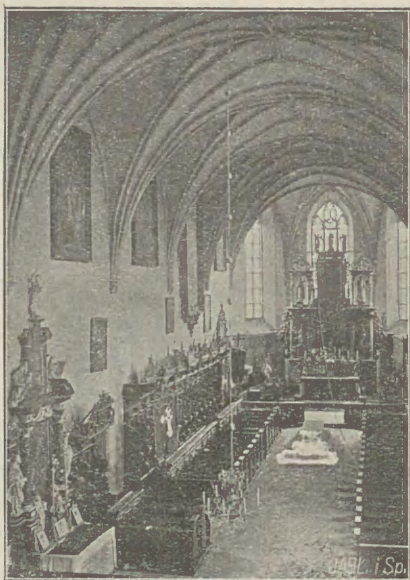
z Gdańska na Pruszcz i zdążam wieczorem do Kartuz. W drodze mam za towarzyszy dwu piechurów pruskich, rodowitych Kaszubów, z którymi wdaję się w rozmowę; spostrzegłszy jednak, że Polak, jeden przestał mówić, drugi naginał się tak do prawdziwej polszczyzny, że nie mógł poznać jego gwary i przysłuchiwać się mowie w tej mierze, jak pragnąłem. Tyle tylko wyniosłem ciekawego z tej rozmowy, że zapamiętał nazwę bluzy wojskowej »litewka« — a przyczyny pochodzenia dotąd nie odgadłem.

W Kartuzach zajechałem do kupca polskiego, u którego mi polecono zgłosić się i znalazłem serdeczną gościnę. Ze świtem prawie wyszedłem z domu, aby się przypatrzeć Kartuzom, ale całonocna ślota i ołowiane niebo nie pozwoliło mi oglądać tego miasteczka w tej krasie, w jakiej mogłem je być widzieć w dzień pogodny. Obchodząc rynek, niewielki ale schludny czytałem na szyldach nazwiska na wskrós polskie a nawet w asystencyi przydomka *von*, co miało znaczyć, że osoby te są pochodzenia szlacheckiego. Wszakże przeszkadzało to jednak panu *von* Mordziejewskiemu być — rzeźnikiem, a pani *von* Blotzki — akuszerką i prawdziwie rzetelną feministką.





Szczególniejszą mą uwagę zajął klasztor niegdyś zakonu Kartuzów, piękny gotyk, zepsuty łamanym, gontowym dachem i wieżą baro-



kową; również wewnątrz przeważa w ołtarzach barok; tylko stale rzeźbione bogato są zabytkiem szacownym i rzadkim. W posadzce wiele kamieni grobowych, z nazwiskami Szczepańskich, Szczawińskich i innymi. Nie brak i obrazów starych z wieku XVII. i obrazu zabójstwa



św. Stanisława biskupa z wieku XVIII, na którym król Bolesław ma na głowie rogatywkę, na sobie kontusz a na nim — order Orła Białego!

W stronie zachodniej od klasztoru rozciąga

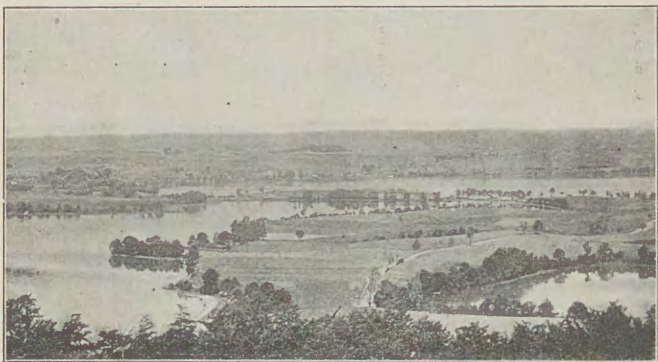


się dość duże jezioro, którego brzegi, pokryte lasem, są miejscem przechadzek letnich; część alei cienistej nazwano »Philosophenweg«, zdaje się od jakiegoś domorosłego filozofa, który patrząc na klasztor Kartuzów, myślał o znikomości pracy ludzkiej.

Pomimo wilgoci i zamglonego widnokręgu ruszyłem z bratem mego gospodarza poza jezioro ścieżynami leśnymi; przechodząc ze wzgó-

rza na wzgórze, stanęliśmy po mozolnym marszu na »wzgórzu prezydenta« (czy prezydentów — *Präsidentenhöhe*).

Widok, jaki się tu ukazał, był rzeczywiście nieporównany. U spadzistego wzgórza tuliła się wśród drzew i sadu zagroda kaszubska; zarówno dom mieszkalny, jak i stodoła miały dach wy-



soki, kryty słomą a szczyt przykładany drewnianymi krokiewkami. Na lewo rozciągało się jezioro większe, oddzielone jakąś groblą od mniejszego lecz dłuższego, ciągnącego się ku południowi; na prawo znów nieco dalej jeziorko niewielkie, ujęte w ramę drzew zielonych, odbijających się dokładnie w zwierciadle wodnem. O ile mgła pozwalała rozpoznać plany dalsze, poza grupami drzew przeglądały domy luźne lub gromady;

Chmielna jednak, mającego leżeć nad jeziorem na prawo, na zachodzie, nie mogliśmy wyśledzić. Chwilami przedzierały się promienie słońca przez gęste obłoki, a wtedy nabierały jeziora blasku, lasy niezwyklej barwy, i cały krajobraz zmieniał się w okamgnieniu, jak w kalejdoskopie.

W powrocie podziwiałem widok na jezioro klasztorne i położenie Kartuz, czego śpiesząc w przeciwną stronę, obserwować przedtem nie mogłem.

W domu zastaliśmy parę osób obcych, jakichś krewnych i znajomych gospodarstwa, którzy tu przybyli z niedalekiego Leszna. Była to przeważnie szlachta, mówiąca jednak nieszczególnie po polsku; pani zaś już starsza umiała tylko po kaszubsku i nieco po niemiecku. Dosłyszałem jak opowiadała gospodyni domu o wypadku gospodarskim, jak jej *knôp* (chłopiec) postraszył *dwa cèlenta* (cielęta) i te chciały przeskoczyć płot, przyczem jedno z nich przebiło się na kołku. Opowiadała to prawie ze łzami w oczach; skarżyła się na to nieszczęście gospodarskie i wskazywała na przeczucia, jakie miała dni temu parę. Krety też niedawno porwały ścieżkę na podwórzu a to zawsze wróży nieszczęście.

Byłbym się może dowiedział o innych wróżbach nieszczęścia, bo rozgadały się niewiasty niepomrotnie, gdyby nie nadejście ojca gospodarza, zwanego tu »starym panem«. Już wczoraj wieczorem rozpoczął ze mną pogawędkę i miał ochotę wieść ją dłużej; widząc jednak moje zmęczenie sam mię do pokoju gościnnego na podstryszu zaprowadził i spać iść kazał. Dzisiaj daleko jeszcze było do spania a dziadzio pykając fajeczkę był w usposobieniu jowialnem i gadatliwym.

Rozpoczął o Krakowie, w którym był przed wielu, bardzo wielu laty a potem utonął we wspomnieniach lepszych czasów nawet w Prusiech. Jego zdaniem wszystkiego złego przyczyną był Bismarck i dopóki jego duch będzie pokutował w polityce pruskiej nigdy lepiej nie będzie. Bismarck się rzucił na Kościół i wiarę, Bismarck rozpoczął walkę z językami nie niemieckimi, Bismarck pierwszy pogwałcił przywileje szlachty polskiej zagwarantowane przez królów pruskich.

— Bo to, panie mój — kończył starowina — jak się co złego trafi między Niemcami, to już, panie, gorsze od dyabła.

Religijny wielce i szczery katolik, nie mógł zrozumieć, jak duchowieństwo zniesie na stolicach biskupów polskich, biskupów Niemców;

zdawało mu się, że biskup powinien zasiadać na swej stolicy z wyboru duchowieństwa i wier-nych i przede wszystkim strzedz nabożeństwa polskiego, bo te wszystkie nowości w kościele odstręczają lud od wiary i rzucają go w Bóg wie jakie objęcia.

— Pan Bóg ich za to skarże, panie mój, że nie uszanowali wiary ojców naszych!

Nazajutrz pożegnałem dom pocziwy. Zdarzyło się tak, że i owa Kaszubka biadająca nad *cèlentami* jechała w tę samą stronę i siadła do tego samego przedziału. Spotkała się z jakąś znajomą Niemką i pokazało się, że jest zupełnie wymowną, bo bez przestanku trzepała po niemiecku aż do celu swej podróży. Obie sąsiadki wysiadły a ja zostałem z jakimś Niemcem. Ponieważ żegnałem Kaszubkę wysiadającą, zagadnął, czy i skąd ją znam; a że jechał do Elbląga i mieliśmy być aż do Tczewa towarzyszami podróży, więc się rozgadał na dobre. Że nie mógł zrozumieć, dlaczego Kaszubi nie porzucają swego narzecza dla »kulturalnego« języka niemieckiego — nie dziwiło mię to, bom się z tym szowinizmem spotykał u Niemców tutejszych na każdym kroku; ale że nie miał pojęcia o narodowym powinowactwie Kaszubów z Polakami a uważał ich za jakąś osobną gałąź



rybaków niemieckich częściowo spolszczonych, że uważał i innych Polaków i Mazurów, mówiących po polsku za owoc agitacji wielkopolskiej — *der grosspolnischen Agitation* — to mi dało powód do mniemania, że to człowiek średniej inteligencji, znający z tej strony stosunki o tyle, o ile mu jakiś hakatystyczny dziennik prawdę lub kłamstwa za prawdę podane napisze.

Pozwoliłem mu mówić nie polemizując, ani nie wdając się w dyskusję prawdopodobnie bezcelową; czyniłem to tem skwapliwiej, że dzień się zrobił piękny, a okolica nad rzeką Radunią, przez którąśmy przejeżdżali, była na prawdę interesująca; przedwczoraj jej nie widziałem jadąc wieczorem późnym.

Wreszcie stanęliśmy w Pruszczu a wnet potem w Tczewie. Miałem do następnego pociągu godzin kilka, więc poszedłem ze stacyi po wysokim wale do miasteczka. I znowu fara starożytna z wieżą krzyżacką, znowu napisy nazwisk polskich zeszpecone straszną pisownią, a tu i owdzie oderwane słowa polskie między służbą i robotnikami. *Ein Volk der Sklaven...* (naród niewolników...)

Przechodzącego obok szkoły uderzył śpiew, wydobywający się z wnętrza. Przystanąłem, bo melodia wydała mi się znana. Była to piosenka:



*Ich weiss nicht was soll das bedeuten...* śpiewana przez dzieci, pewnie w połowie polskiego pochodzenia. Ale w »Dirschau« Polaków być nie może...

Pod tym wrażeniem przejechałem Prusy Zachodnie i Poznańskie.

## ZA PRZESMYKIEM JABŁONKOWSKIM.

Kiedym dojeżdżał za stacją »Mosty« do tunelu, na granicy między Śląskiem a Węgrami, mimowolnie rzuciłem okiem na naczótek wydrażenia, czy też tam nie siedzi dyabeł. Tak jest, upatrywałem dyabła, który podług słów ks. S. na odpuszcie w Czacy, siedzi spokojnie na granicy węgierskiej i drzemie, bo ma ludność węgierską w swej mocy i o nią się nie boi. Czy naprawdę ta ludność zupełnie w moc dyabelską popadła?

Lesistym wąwozem zbiega kolej żelazna w dolinę Skaliczanki a potem pod Czacą w dolinę Kisucy. Przepycham się przez tłumy wieśniaków i robotników, opuszczam mały dworzec i stoję na dość obszernym placu, którego bok prawy zajmuje duża karczma, bok lewy składy drzewa, desek i innych materiałów drzewnych.

— Janō! — rozlega się głos z karczmy — a hybaj rychle po pana do chabryki!

Obejrzałem się. Na progu stała dziewczka w białej chustce na głowie, w białej koszuli, ciemnej

spodnicy dosyć krótkiej, mająca na nogach od kolan po stopy jakby rurkowate pończochy, a na stopach jasne kypce. Strój podobny nieco



do śląskiego, ale mniej bogaty i ozdobny; więcej od stroju zainteresował mię język czysto polski.

Zaczekałem na owego Jana wydobywającego się z pomiędzy belek. Miał na głowie duży kapelusz góralski czarny z wywiniętą do góry

krezą, na kadłubie grubą koszulę parcianą z wolnymi szerokimi rękawami, spodnie wełniane góralskie, skromnie tylko czarno na szwach bo-



cznych naszyte, na nogach krypte, a za pasem »męcherzynę« z tytoniem.

Zrównał się ze mną na gościńcu i mrucząc pluł w bok i pykał fajkę.

— Gdzież to idziecie do tej fabryki? — zapytałem.

— A tam »dołu« pod miastem jest chabryka i tam je pan; po niego idem.

Zasięgnąłem od niego wiadomości, gdzie w miasteczku jaka restauracya i poza mostem poszliśmy każdy w swoją drogę.

\*

Skonstatowwszy, że w tym kącie żupaństwa trenczyńskiego mieszka ludność polska, starałem się w szeregu wycieczek późniejszych określić jej obszar jak najdokładniej. Niestety, obszar to nieznaczny, bo nie obejmujący nawet wsi 10, ale przez to ciekawy, że pomimo różnic tak w języku jak i cechach etnicznych najbardziej zbliżony do górali śląskich od Istebnego i Koniakowa. Do wsi polskich w dolinie górnej Kisucy należy Rakowa, Staszków, Podwysoka, a częściowo i Turzówka, w dolinie Skaliczanki: Świerczynowice, Czerne i Skalite, w dolinie średniej Kisucy a na południe od Czacy Oszczadnica a w pewnej części i Krasne. Wysokiej cyfry ludności polskiej nie można tu stanowić, ale że ona przekroczy cyfrę 10.000, to nie ulega wątpliwości. Jedno przecież trzeba uczynić zastrzeżenie: ludność to jest polska pod względem językowym, charakter zaś etniczny z wyjątkiem Skalitego i Czernego bardzo zmieniony, a poczucia narodowego brak w ogóle, boć te oko-

lice pod względem oświatowym bardzo zaniebane.

\*

Szedłem z Czacy wybornym gościńcem w dolinę Skaliczanki. Dzień był upalny, sierpniowy, stąd nic dziwnego, że na jasnym niebie wnet pojawiły się brudne chmury i spadła burza. Schroniłem się do przydrożnej chaty i przeczekałem nawałnicę, ale stracił przeszło dwie godziny, a chciałem na noc dostać się do Skalitego. Nawałnica przeszła, ale drobny deszcz padał; iść po błocie z dość ciężkimi pakunkami i pod parasolem nie uśmiechało się mi wcale, więc przyjąłem propozycję jadącego z cegłą Skaliczanina i usiadłem obok niego na ceglach i worku z obroku.

Jazda to była, jakiej nigdy nie zapomnę. O ile się jechało równiną lub pod górę można jeszcze było wytrzymać, ale z góry siedzenie na ceglach i wóz nie na resorach dawał przedsmak jednej z mąk Dantejskiego piekła. Do tego deszcz nie ustawał i trzeba było nieustannie trzymać nad sobą parasol; ten atoli chroniąc grzbiet odsłaniał i oblewał kolana, a chroniąc kolana, powoli ale systematycznie skrapiał grzbiet od połowy plec na dół. Mój sąsiad i dobroczyńca nie przysparzał mi też ulgi; owszem przy podskokach wozu przesuwał się na moją stronę,



a spuściwszy na dół kryzę swego »kłobuka« jakby z drugiego parasola oblewał mój bok prawy wodą.

Taka jazda trwała przeszło dwie godziny — wreszcie dobiłem do karczmy przed kościołem, aby zanocować. Zastałem karczmę nabitą — gośćmi weselnymi. Karczmarz znany mi z dawna starał mi się wyszukać jaki kącik i przyrzekł nocleg, chociaż nie ręczył za spokój — ale ja przemoczony do nitki pragnąłem na razie jeżeli nie obsuszenia to zagrzania od wnętrza; pokarmu i ciepłego napoju. Jajecznica na smalcu — oto był mój pokarm, i wino dość niezłe — napój gorący.

Pomimo sytuacji nie do pozazdroszczenia nie mogłem pominąć sposobności przypatrzenia się weselnemu obrzędowi i stanąłem w drzwiach izby szynkownej. Mała lampka naftowa, umieszczona wysoko pod powalą, oświecała izbę zapelnioną tańczącymi, którym przygrywało dwu skrzypków i basista. Przodujący stawał przed muzyką, a za nim inni i śpiewali piosenki okolicznościowe.

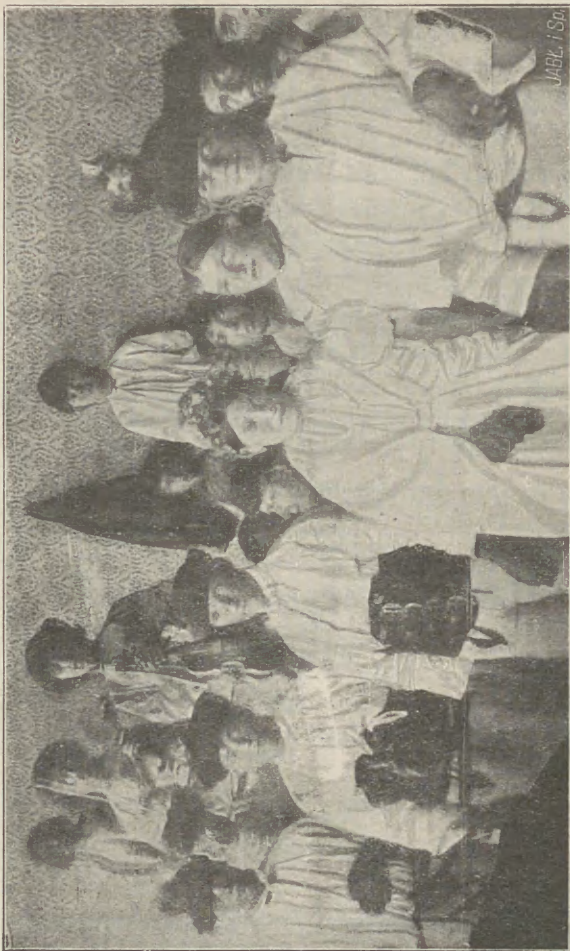
Tańczuj ze mi tańczuj moje tańcowadło

Ci mi to Pan Boh dał, ci mi nieba spadło.

albo:

Zakwitnuł rozmarin przed nasemi wratki,

Odbier sie Marysiu od ojca, od matki.



JABŁ. i Sp.

Grzebie kurka, grzebie, na krzizowy ceście  
Zimná mać sie śmieje ty młody niewieście.

Kiedy muzykant już dobrze zrozumiał melodyę, poczynali się kręcić na miejscu para przy parze w ten sposób, że tancerz tylko prawą ręką obejmował kibić tancerki, ona zaś swą lewą wspiera na jego ramieniu; jego ręka lewa a jej prawa zwisały wolno, a trzymanie się za te ręce nie uważają za właściwe. Początkowe tempo dosyć wolne stawało się przyspieszonem, poczem zmieniało się w wir zawrotny, który muzykant kończył urwaniem melodyi. Stawał inny tancerz na przedzie i znowu śpiew i taniec wirowy na miejscu.

Zaduch, woń trunków, a jeszcze bardziej wilgotne na mnie ubranie i znużenie całodziennem chodzeniem kazało mi się obejrzeć za jakim kącikiem. W sieni zastałem karczmarza w żywej rozmowie z jakąś kobietą, nie wiejską, z zarzuconą tylko chustką na głowę. Była to żona nauczyciela tamtejszego, która kobiecą wiedzioną ciekawością, przybiegła popatrzeć na wesele, a dowiedziawszy się od gospodarza o mnie, zaprosiła do szkoły na nocleg i prawie zmusiła przez przysłanie męża, żem gościnę przyjął.

Było to dla mnie prawdziwe zbawienie i nie

tylko znalazłem spokój potrzebny do wypoczynku, ale dowiedziałem się od obojga nauczycielstwa, serdecznych Słowaków, wielu szczegółów obrzędu weselnego, a na drugi dzień poznałem przez ich pośrednictwo, dwu najinteligentniejszych wieśniaków tamtejszych, wójta (rychtarza) i pomocnika w nauce szkolnej (na zimę), którzy mi wiele pomogli do poznania zwyczajów i mowy Skaliczan.

Przeszedłszy raz przez Krasne i Oszczadnicę i skonstatowawszy ich charakter mieszany polsko-słowacki, chciałem się dostać przez góry do Skalitego — krótszemi drogami. Z początku póki wieś się rozciągała, zapytywałem co chwila o drogę i kierunek i chętnie mi pokazywano drogę polową, idącą w górę ku lasowi. Ale skoro się wieś skończyła, skoro nawet pastuchów trudno było gdzie spotkać, na pokrzyżowanych ścieżkach leśnych i wydeptanych przez bydło śladach ani rusz nie mogłem się zorientować. Wprawdzie miałem przy sobie mapę sztabu jeneralnego, alem się jej nauczył używać ostrożnie, bom doświadczył już tego, co to znaczy posądzenie o szpiegostwo. A lubo tu w górach i lasach mógł mnie nikt nie dostrzedz, przecież należało tu być więcej ostrożnym niż gdzieindziej, bo właśnie studyowanie mapy na odludziu, najwięcej naprowadza na podejrzenie.

Dzień się miał ku schyłkowi a ja błdziłem po lasach i halach, straciwszy właściwy kierunek. Usłyszawszy w pewnym kierunku coś jakby kaszel, rzuciłem się natychmiast w tę stronę, omal nie opłaciwszy tego pospiechu stratą okularów, zerwanych mi przez gałęzie świerczyny. Znalazłem się na jakiejś drożynie leśnej, ale ani na prawo ani na lewo nie było żywej duszy. Zwróciłem się na lewo w dół i po ujściu kilkunastu kroków dostrzegłem ruszający się jakiś krzak przy drodze. Przystanąłem, a wtedy z pod krzaka dobywać się począł stary gazda i zakaszłał. A więc go mam...

— Pochwalony Jezus Chrystus! — zawołałem.

— A na wieki, wieków — na wieki wieków — odparł starowina, widocznie przełknięty.

— A co też haw panocek robiom? — zapytał widocznie w obawie, czy za nim nie idę i nie śledzę.

Opowiedziałem swoją przygodę, poczęstowałem go cygarem, co sprawiło na starym bardzo dobre wrażenie, bo się rozgadał, o ile mu kaszel pozwalał, i wziąwszy dość ciężki chojar na swe stare barki, ruszył naprzód, a ja za nim. Dowiedziałem się, że z drogi zeszedł, ale że idąc z nim wejść w dolinę boczną od Skalitego



i potem już prosto dojdę do gościńca. Gęsty mrok już zapadał, kiedym po tych »krótszych« drogach doszedł do wsi i zwróciłem się do części górnej, aby zanocować w chacie poznanego już dawniej wójta.

Światło żółtawe, dobywające się na zewnątrz przez dwa małe okienka, wskazywało, że mieszkańcy jeszcze nie śpią; ku memu zdziwieniu zastałem rodzinę przed chatą przy wieczerzy, ale w liczniejszym niż zwykle towarzystwie.

— Pochwalen Pan Jezus! — zagadnąłem zbliżając się do progu, na którym siedział sam gazda.

— Na wieki wieków — odrzekli chórem i poczęli wpatrywać się we mnie, nie mogąc poznać w mroku przybyłego.

Najrychlej poznał mię Józef, najmłodszy syn »rychtara« (wójta), a to jak mówił po przewieszonych »torbach« z aparatem fotograficznym.

— O, witajcie, witajcie! — odezwał się jego głos prawie równocześnie z ojcem, który powstał na moje powitanie i wyciągnął dłoń ku mnie.

— Prosimie do wieczerzy — zagadnęła córka zastępująca gospodynię, bo »rychtar« od lat kilku był wdowcem. — Ale cy bedziecie jeść z nami *poncki*?

Zastanowiłem się, skąd o tym czasie w Ska-



litem mają »pączki«. Nie byłem wprawdzie nigdy zbytecznym przyjacielem tego karnawałowego wybryku, ale obecnie po kilkunastokilometrowej przechadzce byłbym i »pączków« nie zostawił na misie. Okazało się jednak, że o »pączkach« w naszym zrozumieniu tu nawet nic nie wiedzą, a potrawa, do której mię zapraszano, była raczej t. zw. prażuchą z żytniej mąki z kwaśnem mlekiem. Nie miałem odwagi zabrać się do tych pączków, więc mi dano dobrego mleka kwaśnego, z kawałkiem chleba, który miano przypadkowo w domu (kupny, biały, bo chleba tu nie pieką) i tym sposobem pokrzepiłem siły. Gościnny gazda rozkazywał koniecznie córce, aby usmarzyła jajecznicy, ale ja wiedząc, że ją tu robią zawsze na słoninie, jeżeli nie na sadle — zdołałem się wyprosić.

Poznałem oprócz domowników i innego gazdę z dwiema córkami, który tu przybył na noc z dolnej części wsi, aby zaraz rano wyruszyć z rodziną »rychtara« piechotą do Milówki — na odpust. Nazajutrz bowiem był dzień św. Anny (26 lipca) a Skaliczanie, a zwłaszcza Skaliczanki mają osobliwe nabożeństwo do tej patronki dzieci i nie tylko małe ale i dorostające chętnie wiodą na ten odpust, oddając je w opiekę »św. Hannie«. Poznany sąsiad należał, jak się dowiedziałem, do arystokracji wiejskiej, nietylko na

mocy swego majątku, ale swego wykształcenia; umiał bowiem czytać i pisać i w zimowych miesiącach bywał pomocnikiem »rechtóra« w szkole. Czuł też dobrze swoją przewagę nad innymi i umiał przybierać pozy i miny, które go wynosiły ponad tłum pospolity. Na mocy swego zimowego zajęcia czuł się do mnie jako do nauczyciela zbliżonym, i od pierwszej chwili stał się niezwykle rozmownym.

W toku rozmowy z nim i z domownikami nawiązując do »poncków« dowiedziałem się, że pożywienie tutejszej ludności jest nadzwyczaj liche i jednostajne. Na śniadanie »bramборы« (ziemniaki) z kapustą lub kwaśnem mlekiem, na obiad to samo, na wieczerzę również, jeżeli co z obiadu pozostało. »Poncki« należą do potraw rzadszych i cenniejszych; mięsa nie widzą rok cały, chyba jeżeli zabiją barana lub »brawca« (wieprza), co się chyba trafia w zapusty, lub w jesieni w okresie częstszych wesel (swadźb). Mięsa wieprzowego nie zostawiają w połciach, ale krawa i tłuszcza i mięso na kawałki, dają do beczki, przesypując solą i potem je warzą na kwasie kapuścianym lub na maślanie, aby zawsze były kwaśne. Mięsa wieprzowego nie wędzą i nie suszą.

Kiedym ciekawym zdał relację, skąd wracam i którędy z przeszkodami dostałem się do Ska-

litego, ubawili się mojemu przygodami, a że nie było jeszcze późno, starałem się ich wyciągnąć na rozmowę dłuższą.

Nie dał się zbytnio prosić kolega-gazda i odpowiedział następującą powieść »o Jurowi i jego bratach«.

Dwaj bracia bogatsi i sprytniejsi przy podziale majątku ojcowskiego ukrzywdzili Jura, któremu dali tylko jedną krowę starą. Juro tę krowę zarznął, mięso zasolił i zachował, a skórę suszył na dachu. Nagromadziło się na niej wiele os i much; on je wszystkie w skórę zawinął i zaszył, poczem udał się na jarmark, aby tę skórę sprzedać. Noc go zaszła w drodze. Zbliżył się do jakiegoś młyna i zobaczył przez okno, jak młynarka gościła pana, dając mu dobre pieczenie i wino. Tymczasem nadszedł młynarz i począł stukać. Nim mu młynarka otwarła, schowała pana do szafy, a potrawy i wino każde gdzieindziej. Za młynarzem wszedł i Juro i prosił o nocleg. Przyjął go młynarz i poprosił do wieczerzy, ale bardzo skromnej, bo złożonej z kwaśnego mleka z chlebem. Skoro spostrzegł zawiniątko Jura, pytał go, co to jest, a ten powiedział, że to »proroki« — a na dowód tego powiedział mu, posłuchawszy przy skórze, gdzie się znajduje dobra wieczerza i wino przez młynarkę ukryte. Kiedy się pokrzepili tą lepszą

wieczerzą, wyprorokował jeszcze Juro młynarzowi, że w szafie jego siedzi czart, którego powinien rzucić pod koło młyńskie. Młynarz widząc cudowne narzędzie w skórze, zwanej »prorokami«, kupił ją od Jura za 50 zł., a rano dał Jurowi szafkę, aby sobie wziął. Ten wiozł ją czas jakiś na taczkach, ale przybywszy na most, postanowił z niego zrzucić szafę z panem do wody. Na głośnie oświadczenie Jura odezwał się zamknięty w szafie pan i po dłuższym targu uwolnił go Juro za zapłatą 200 zł. Tym sposobem uzyskał za skórę 250 zł. — więcej, niżby mógł być uzyskać na jarmarku.

Powróciwszy do domu, chwalił się wobec braci, jaki on to dobry interes zrobił na tej starej krowie. Bracia mu pozazdrościli i zabiwszy po krowie, skóry pozaszywali i poszli znowu z »prorokami« za wskazówką Jura do tego samego młyna. Ale młynarz, przekonawszy się już co to za proroki, zwołał służbę i dobrze tym braciom ich własną skórę wygarbował. Ci z zemsty, gdy wrócili, kazali swym dzieciom niszczyć siano Jura i nosić do niego gnój wszelaki. Ale Juro nie w ciemie bity: siano to z gnojem upakował do beczki i wiozł tę beczkę zaszpunktowaną do miasta, gdzie ją sprzedał za 800 złr. jako lek na cholereę. I znowu wrócił i chwalił się, jak on to dobrze siano spieniężył.

Bracia nabrali siana i gnoju, naładowali do beczek i powieźli do miasta, ale zamiast stówek dostali taki poczęstunek, że ledwie kości dowlekli do domu. Zagniewani na Jura postanowili go utopić. Wsadzili go do beczki i puścili na Wag. Juro płynąc krzyczał, że »nie chce być tym pierwszym panem nad Budzinem«. Owcarz pasący kierdel nad brzegiem pytał go, co to znaczy i nabrał ochoty zostać pierwszym panem nad Budzinem. Zmienili role: Juro pasł owce, a owcarz popłynął w beczce. Wtedy Juro owce zajął i popędził do swego domu — znowu się chwalać przed braćmi, że tylko część owiec zajął, a wiele ich jeszcze bez pasterza zostało. Bracia powsiadali do beczek i popłynęli Wagiem, ale owiec nigdzie nie znaleźli, znaleźli natomiast śmierć w falach Dunaju. Juro po ich śmierci zagarnął ich majątki i nie był już odtąd »najchudobniejszym« we wsi.

Wśród tego opowiadania młodzież udała się na spoczynek, a skoro na zapytanie gospodarza oświadczyłem, że chętnie jeszcze posłucham jego opowiadania, opowiedział powiastkę o złej babie.

Baba, jak się trafi próżniak to już »dubelt«. Tak i jeden gazda dostał babę taką, że nawet przedzenie kądzieli było dla niej ciężką pracą: przez całą zimę sprzędła ledwo jeden zgrzebny



łokieć. Chłop się już przestał tem martwić, ale jej zapowiedział, że ma się ku wiośni, to trzeba przędzę do tkacza oddać. Baba postanowiła ją najpierw wyprać; nałożyła do szaflika rozmaitych kłaków, a na wierzch położyła tę przędzę, którą w zimie uprzedła. Wszystko to zrobiła podczas nieobecności męża.. Kiedy ten wrócił a z nim wszedł do izby pies kudłaty, poczęła narzekać, że może jej pies przez przędzę przeskoczyć, a wtedy się jej wszystko obróci w kudły i na nic będzie jej praca przez całą zimę wykonana. Kazała psa wygnać i sama go z gazdą wyganiała, ale tak, że pies musiał przez szaflik przeskoczyć. Wtedy narobiła lamentu, że wszystka przędza na nic. Chłop odpowiedział: »Kie się przędza zezgrzebiła, będziesz nago chodziła«. Właśnie siostra tej baby miała iść za mąż; prosiła tedy baba chłopca, aby poszedł na jarmark i kupił płótna, bo ona się nie ma w co oblec. Chłop poszedł na jarmark, ale zamiast płótna kupił gęs białą. Zmartwiła się baba, że niema płótna, ale ją chłop uspokoił, że na wesele pójdą. Wziął tedy snopek słomy, babę do niego w środek zawiązał i zaniósł na plecach na wesele. Ustawwszy ją w sieniach przy drzwiach tak, aby przez szparki w słomie mogła wesele widzieć, sam poszedł do izby, i mówił komu mógł, aby na ten snopek swą po-

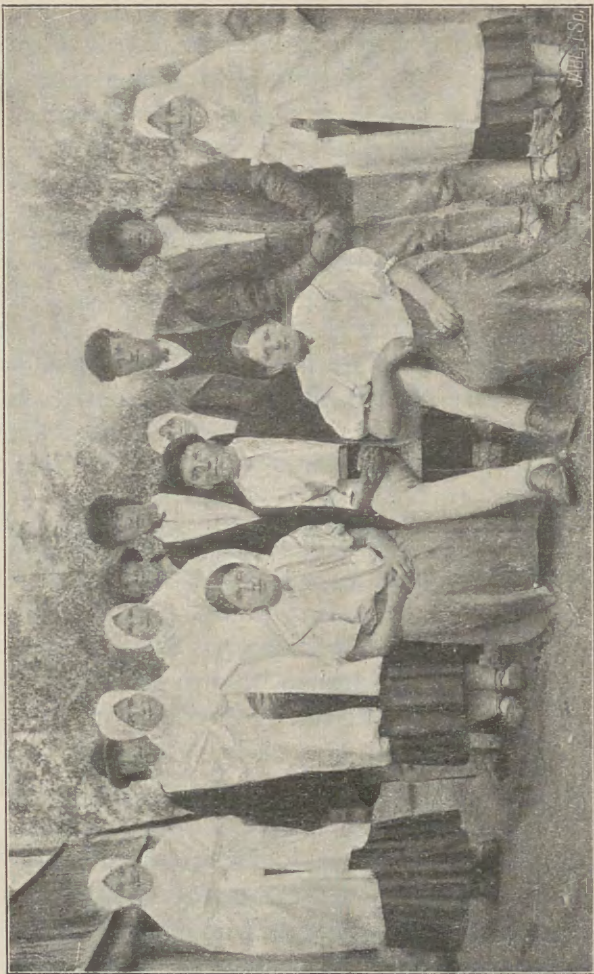


trzebę robił. Była zima i babie było tak zimno, że było słyszeć szczekotanie zębów. Wtedy chłop ją wziął na plecy, i niosąc do domu jeszcze w potoku porządnie zamoczył, niby przypadkiem się przewracając tak, że babie dobrze się to wesele dało we znaki. Baba poznała, że pracować trzeba, i odtąd, co przez zimę naprzędła, już się jej na wiosnę nie zezgrzebiło.

\*

Jeszcze przed wschodem słońca byliśmy wszyscy na nogach. Był dzień pogodny, ale ranek chłodny, bo na szybach okien obfita osiadła rosa. Izba, w której spałem, była jedyną izbą mieszkalną: mieściła więc i piec wielki z nalepą, i z kociołkiem nad nią na łańcuchu, i łóże wielkie, stół i ławę i w kącie szafkę z naczyniem kuchennem.

Umywszy się w blizkim potoku i pokrzepiwszy świeżem mlekiem byłem gotów do podróży. Tymczasem z całej górnej osady poczęły się schodzić gaździny, a kiedy sądzono, że już wszystkie przyszły, zdjąłem całą grupę fotograficznie i ruszyliśmy gościńcem ku Zwardoniowi. Miałem zamiar w Zwardoniu sięść do pociągu, ale dzień piękny i nader romantyczna okolica skłoniła mnie do przyłączenia się do pątników i ofiarowania tego trudu św. Annie. Szedłem



tedy obok przewodnika Michała, przepowiadającego pieśni, i słuchałem z przyjemnością śpiewu nieuczonego, ale dwugłosowego, bardzo



harmonijnego, dziwiąc się, że ten lud tak zaniedbany kulturalnie, stoi pod względem śpiewu kościelnego wyżej znacznie od niejednej naszej wsi, znacznie więcej oświeconej.

W parę miesięcy po tej wycieczce otrzyma-

łem od kolegi Michała opis wesela skalickiego  
i list następującej treści :



Pochwalen Pan Jezus !

Drahy przacielu nas !

My wás serdecznie pozdrawujeme, a wszystko  
dobre wám od Pana Boha winszujeme, stałego  
a dobrego zdrowia a spokojnego długiego ży-  
wota. Myśme chwała Bogu zdrowi, nowego nie  
máme nic, lecz to wám dawamy na wiadomo,

iże nas Józef już rychtarom nie są, bo im tego zawidzieli ich dobrzy przáciele. Jano musiał narukować do Trenczyna ku wojsku, a naszego pana farara (proboszcza) odsądziłi do aresztu prze wykrykowanie a nadawanie ludziom przy kazni (kazaniu) w kościele. U nás jesce dobrá zima, ale patrzy juz na jarz, a ciesyme sie, ze sie z Wami znowu lecie uwidzime. Co dej Pan Boh. Amen.

S opravdowá uctá  
Was M. C.  
siedlak w Skalitem.

Niestety ani tego lata, ani następnych kilka, nie było mi dane odwiedzić tych prawdziwych i rzetelnych przyjaciół.



VII.

## OKOŁO BABIEJ GÓRY...

I.

Wyczerpany jednostajnością szeleszczącego po drzewach deszczu i szumiących polnych i leśnych potoków, skoro tylko przychylniejszy dzień zaświtał, zabrałem nieodstępnego towarzysza—aparat fotograficzny, i znalazłem się na dworcu kolejowym w Suchej.

Zastąpił mi drogę znajomy p. X., — bo gdzież tu nie napotkać znajomych.

— Pan na wycieczkę?

— A tak, ruszam się nieco, bo mam już Suchej dosyć...



— Może do Żywca?...

— W stronę Żywca, ale potem w bok, przez góry i lasy, na Orawę.

Zdziwienie odmalowało się na licu pocziwca, który prawdopodobnie nie był dalej jak w Żywcu, a o Orawie coś gdzieś zasłyszał.

— To już chyba na stronie węgierskiej... Nigdy tam nie byłem.

— Tak, panie, na węgierskiej.

Szczęściem dla mnie, odezwał się dzwonek portyera zastępujący dawne sygnały na dużym dzwonie, i przerwał dalsze śledztwo.

Pan X., chodząc po peronie, spoglądał jeszcze niekiedy w stronę, gdzieś się umieścić, a w jego wzroku czytałem politowanie dla mnie, a zadowolenie ze siebie, że może spokojnie trzy razy dziennie, dla różnaitości odwiedzać dworzec kolejowy i wyszukiwać w przejezdnych, znajomych bliższych i dalszych..

Pociąg ruszył, byłem sam w przedziale. Choć okolicę znam bardzo dobrze, śledziłem przecieź bacznie wszystko, co mi się przed oczyma przesuwalo, budząc niedawne wspomnienia. Zjawiały się i znikaly rychło domki góralskie starszego typu, z »kobuzem« u szczytów i pięterkiem nad wchodem i nowsze, z łamanymi

szczytami i małemi w nich okienkami, migały kamienne figury świętych, pstro pomalowane, rysunkiem rzeźby przypominające posąg Światowita, i małe kapliczki, powieszone na przydrożnych dębach, olszach, lub owocowych drzewach, w dość gęstem obok siebie sąsiedztwie.

W okolicy Stryszawy spostrzegłem gromady, a potem całe sznury ludu, ciągnącego z tej doliny ścieżkami i drogami, pieszo i na wozach, we wszystkich kierunkach: do Lachowic, Krzeszowa, Suchej. Przypomniałem sobie wtedy, że to odpust w Stryszawie na św. Annę...

Jaki ten lud góralski niezmordowany! Wczoraj był na odpuscie w Suchej, dziś odpust w Stryszawie, w niedzielę w Zembrzycach, we czwartek będzie jarmark w Makowie i t. d. i t. d., a wszędzie ludu pełno, — najpełniej w szynkach. I dziwić się potem, że kiedy na równinach dla skwaru było już do stajen zaganiają, tu zaledwo wyszło na paszę: kiedy tam robotnicy w polu już śniadania wyglądają, tu dopiero gazda przeciera zaspane oczy i patrzy po »wirsckak«, czy będzie pogoda!

To zbyteczne zaufanie w miłosierdziu Boskiem, życie z dnia na dzień w niepróżnującem próżnowaniu na jarmarkach i odpustach, mały

pociąg do pracy i samopomocy — jakież to rak, toczący społeczeństwo góralskie...

Wspaniałym łukiem pociąg się toczył a raczej posuwał mozolnie od Lachowic ku Hucisku, wjeżdżając w gęste bory, które wskutek nagłego zachmurzenia się nieba przybrały barwę granatu.

Zdawało się, że lada chwila przyjdzie gwałtowna burza; a przecież, nim pociąg dojechał do Jeleśni, wszystko przeszło i słońce się uśmiechnęło.

Z Jeleśni zamierzałem iść pieszo; 22 kilometry do pierwszej wsi orawskiej Polhory (a właściwie Pohory) nie wydawało mi się przestrzenią niepodobną do przebycia na własnych nogach, mniej więcej w czterech godzinach. Obejrzałem się jednak za okazyą, których tu nie brak.

— Skądęście, gazda? — pytałem jednego, stojącego przed podjazdem dworca.

— Ze Sopotni — odparł — A chcieliby kany jechać?

— Ano, na Orawę.

— Jes hań jakisik Orawiák, niek się podziwajom... (popatrzą).

Spojrzałem w kierunku składów drzewa i zobaczyłem duży wóz z drzewem, a przy nim Ora-

wiaka w charakterystycznym rozłożystym »kłobuku«.

Porozumiałem się z nim niebawem.

— Jadom do Pohory, cy do Rabce?

— Do pana dziekana<sup>1</sup>, do Rabczy. A wnet to pojedziecie?

— Len drzewo złożem, hnet pojedem.

Popatrzyłem na zegarek. Było pół do czwartej. Przypuszczając, że owo »hnet« potrwa godzinę, że więc wyruszymy o pół do piątej, liczyłem, że około pół do ósmej, a więc wnet po zachodzie słońca stanę na miejscu. Anim nie przewidywałem, na jaką próbę wystawiona będzie moja cierpliwość i jak to owo »hnet« wygląda w praktyce!...

Mój Jano Kozak — bo tak się nazywał — zajechał przed skład drzewa. Zanim mógł złożyć swoje, musiał naprzód uprzątnąć z miary metrowej leżące tam poprzednika drzewo, poczem zrzucał po kilkanaście polan z wozu i układał je w klatkę. Kupiec, naturalnie mojżeszowego wyznania, siedział obok, często wstając i oglądając polana, albo uważając, aby puste miejsca między polanami nie były zbyt wielkie. Skracałem sobie czekanie to przechadzką, to ob-

---

<sup>1</sup> Lud orawski sposobem słowackim mówi „pan farar“ (ksiądz proboszcz) i „pan dekan“ lub „dziekan“ (ksiądz dziekan).

serwowaniem robotników; trwało to wszystko dobrą godzinę, zanim mój Jano, zebrawszy resztki koniczyny zielonej, niedojedzone przez konie, związał je w płachtę i podesłał na siedzenie. Usiadłem z boku, nogi zwieszając ku ziemi i przypomniałem sobie młode lata, kiedy z rozkoszą niewypowiedzianą jeździłem w podobny sposób na litrowym wozie po snopki na pole...

Ruszyliśmy dość szparko, ale zaledwo konie puściły się po utartym gościńcu, niebawem ozwało się: prr: i oto — stacya pierwsza.

— Co się stało? dlaczego stajecie?

— Muszę iść do zyda po piniądze.

Dostał od kupca tylko kwitek; inny naturalnie w karczmie wypłaci. Czekam chwilę, chłopca nie widać — więc i ja złażę i idę do karczmy. Trzeba go i tak poczęstować, więc tu, czy gdzieindziej — wszystko jedno. Napiliśmy się piwa i pytam:

— Czy wam już zapłacili?

— E, nie, bo nie ma drobnych; posed zmieścić na poctę.

— Daj Boże szczęście, więc znowu czekanie!... Uzbrajam się w cierpliwość i siadłszy przed karczmą czekam. Nie patrzę na zegarek, aby się nie denerwować i z możliwym spokojem idę



do wozu, kiedym zobaczył, że Kozak liczy pieniądze na dłoni i powoli wychodzi.

— Ileżście dostali za metr?

— Ee, mało; len pięć rymskik i siedziem sóstek. Dàwni płacili po siedziem rymskich i więcy, ale sie smówiły zydy, i tolko płacom.

To powiedziawszy zwrócił się nazad ku karczmi. Prawdopodobnie niedopłacono mu czegoś — myślałem. Nie było go długo widać, podszedłem ku drzwiom wchodowym.

— Jano, a chodźcież!

— Hnet, hnet, lem sobie podkowę dobierem.

Dobieranie podkowy nie jest rzeczą łatwą, ani małą, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że konia do sklepu wprowadzić nie można, ale z każdą podkową trzeba wyjść ku niemu na drogę, następnie, że od podkowy zależy chód konia i szybkość podróży. Rozumiał te względy dobrze Jano Kozak i przejęty ważnością zadania, spełniał je z całym namaszczeniem: trzy razy mierzył i trzy razy wracał do sklepu, aż zniecierpliwione kobyły pociągnęły wóz naprzód i ruszyły ku domowi, spragnione świeżej koni-czyny.

Stanęliśmy przed kowalem. Odbyla się operacya zdjęcia starej podkowy, otworzenia ropnia, przerobienia podkowy i wreszcie jej przybicia, co wszystko naturalnie zajęło sporo



czasu. Nie liczyłem go już, ale wiem, że gdyśmy wreszcie ruszyli, ciągnięni przez kulejącego konia, słońce czepiało się już wierzchołków gór, rzucając na doliny długie i głębokie cienie.

Droga przez Jeleśnię, Krzyżową, Korbielów, zbliżając się ku granicy, staje się coraz więcej interesującą, coraz romantyczniejszą.

Gwałtowne spadki górskich potoków, urwiska skaliste, obrośnięte smrekami aż po brzegi potoków, głęboka dolina z panoramą szczytu Pilska w dali — wszystko to podobać się musi i ciągnie ku sobie oczy podróżnika, czy to widzi po raz pierwszy, czy piąty.

Zmrok już padać począł, kiedyśmy wyjechali na Beskid, gdzie dwa słupy z tablicami, od siebie odchylone, pouczają przechodnia, gdzie się kończy »Galicja«, a zaczyna »Magyar Ország«.

Ruszyliśmy rażniej, Jano Kozak stał się nagle bardzo rozmownym. Opowiadał mi o swoim siostrzeńcu, który się uczy na księdza, pytał o szkoły nasze i o stanowisko wiejskich dusz-pasterzy! Nie wiedziałem do czego to wszystko zmierza, aż gdyśmy dojechali do pierwszych domów Polhory, usłyszałem stereotypowe prrr! i zrozumiałem przyczyny. Jano przyrzekł swemu siostrzeńcowi, że z powrotem wstąpi, a oto dom, w którym przebywa przyszła chluba i duma Polhory.

Ująłem lejce w rękę i z rezygnacją, na jaką rzadko się zdobywam, spoglądałem na mego »kocisia« przeskakującego płoty i sunącego prosto do upragnionej zagrody. »Chwileczka«, na którą się oddalił Jano, przeciągała się w kwadransie, alem siedział nieruchomo, otuliwszy się tylko dobrze, bo zimne powiewy wieczornego chłodu poczęły mi dojmować do kości.

Po tej stacyi, z rzędu trzeciej, czekała mnie jeszcze jedna przed »piłą«, gdzie Jano miał interesa do załatwienia, szczęściem była to stacya najkrótsza, po których już bez znaczniejszych przygód i przypadków stanęliśmy u celu około godziny 10 wieczorem. Czarna noc czarnemi skrzydły mrocznych obłoków pokryła już ziemię, wydychającą ciężko białe opary z rzek i moczarów.

## 2.

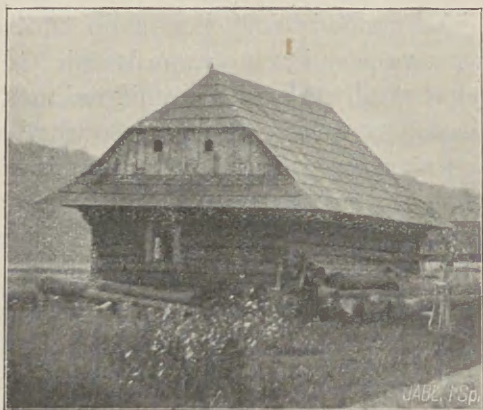
Górna Orawa aż do spławu obu rzek, Czarnej i Białej Orawy, pod Ujściem, przedstawia szereg prawie równoległych dolin, leżących nad dopływami tych rzek obu. Z pod Pilska i z pod Babiej Góry spływają one mniej lub więcej wartkim prądem ku południu, a patrzący przy jasnym dniu ze szczytu Babiej Góry bez szczególnego wysiłku wyobraźni ma przed sobą obraz jakby fałdzistego płaszcza ciemno-zielonego,

przetykanego srebrnemi nićmi, wyrobionego w deseń rozmaity, zwłaszcza w dolnej połowie. Jest to właśnie jedna z cech tutejszego ludu, że po staremu mierzy na »siągi«, nie na morgi i parcele, a każda własność mierzy w szerz 40 czy 4 »siągi« i ciągnie się szerszym, lub węższym pasem od jednej granicy wsi do drugiej, czyli, jak tu mówią »od chotara do chotara«, tworząc owe pasy i różnowzore desenie. Gdyby nie było innych cech pochodzenia ludności tutejszej, już to wskazywałoby na pochodzenie polskie; na szczęście cech tych jest tak wiele, że egzystencyi polskiego żywiołu prawie w całej górnej Orawie nikt nie przeczy, a najmniej sami najbliżej interesowani, t. j. Słowacy, sąsiedzi z Orawy dolnej. Lud tu nieporównanie zamożniejszy, bo ma role lepsze od naszych górali, chociaż na wysokości 600—700 metrów rzadko co innego siać może nad jęczmień i owies, ale przytem i pracowitszy i przemyślniejszy niż nasi, a stanowczo byłby moralniejszy, gdyby nie złe wpływy obywateli mojżeszowego wyznania, rozpanoszonych po Orawie niepomiernie.

Kiedy wsie słowackie są skupione w dwa gęste szeregi przy drodze, wsie polskie w górnej Orawie są rozrzucone w długi, przerywany łań-

cuch, jak n. p. Polhora i Rabcza, ciągnące się po 6—8 kilometrów.

Rankiem zachmurzonym i zamglonym powitał mnie dzień w Rabczy. Było wczas jeszcze, ale obudziły mnie dzwony poblizkiego kościoła, wzywającego na mszę świętą; ksiądz dziekan



bowiem wczas wstaje i wczesnie spieszy do kościoła.

Kościół, jak wiele innych, szablonowy, nie zawiera nic ciekawego; — ciekawszy przy nim cmentarz, bo jest dokumentem — życia.

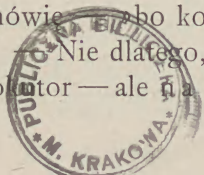
Niedaleko przed bramą wieży sterczy skromny krzyż czarny, a na nim napis: »Tu odpoczywa w Bogu Józef Mócha, (!) młodzieniec,

który zabity został dnia 8 septémбра 1873 roku, w 23-cim roku życia swego«. Napis ten, dosłownie przytoczony, nie jestże dokumentem polszczyzny?

Wbok od tego krzyża na miejscu najwidoczniejszym, w otoczeniu żelaznych baryer błyszczy biały kamień z zajmującym napisem. Oto jeden z obywateli rabczańskich został braciszkiem w zakonie Braci Miłosiernych, czyli Bonifratrów, i pamięć rodziców zmarłych uczcił stosownym nagrobkiem. Jak oddziaływały na niego wpływy otoczenia, dał tego wyraźne świadectwo w tym napisie, który zaczyna się po madziarsku i kończy po madziarsku, ujęty zaś w te ramy napis słowacki »prosi przynajmniej o westchnienie do Boga«. Za nieszczęście swoje prawdopodobnie uważał ów Brat Miłosierny, że się nazywał Gąsior, w pisowni starej słowackiej »Gonssor«, dlatego przekształcił się na »Genzora« na »pamiutku« — jak pisze — prawdopodobnie swej lojalności madziarskiej!... Oto jak oddziaływała kultura madziarska...

Kiedyśmy z cmentarza z ks. dziekanem przeszli na podwórze jego »fary« przywitał nas kogut rozgłośnem paniem. »Będzie pogoda« — mówię — »bo kogut pieje«.

— Nie dlatego, że pieje — odparł mój interlokutor — ale na c z e m pieje.





Kogut pieje na ziemi,  
 Pogoda się przemieni;  
 Pieje kogut na grzędzie —  
 Jako było, tak będzie.

Tak tu u nas wróżą z koguta.

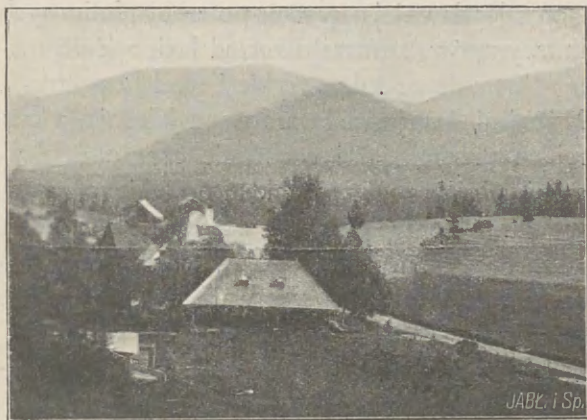
Czy kogut był tego przyczyną, czy nie — dość, że rozjaśniło się, a południem oczyściła się zupełnie i mała i wielka Babia góra, dając wspaniały obraz. Widok jej z naszej strony od Zawoi może być potężniejszy i romantyczniejszy, ale od Orawy jest najmiłszy. Pomijam wdzięczną zieleń borów smerekowych, okrywającą ją prawie aż pod szczyt, ale kontury chociaż ciężkie i towarzystwo Małej Babiej czyli Brany jakby pacholęcia, stawia jasno przed oczy genezę nazwy.

Jeszcze lepiej, niż ze wsi, przedstawia się ze wzgórz, otaczających kąpiele polhorańskie, leżące w wieńcu borów prawie u samych stóp góry. Pojechaliśmy tedy po południu do tych kąpieli, czyli, jak tu lud mówi, »do słonej wody«.

Owa »słona woda« jest solanką jodowo-bromową, podobną jak u nas w Rabce i w podobnych stosowaną chorobach; bez porównania składu chemicznego obydwu trudno jednak orzec, która silniejsza. To niezawodne, że poło-



żeniem na wyżynie około 800 m. z otoczeniem lasistym góruje stanowczo nad Rabką, którejby poważną konkurencyę czynić mogła, gdyby była za pośrednictwem kolei żelaznej przystępniejsza i dostała się we właściwe ręce. Położona na



gruntach włościańskich przechodzi z rąk do rąk bez znaczniejszych wkładów i bez poważnej myśli ściągnięcia gości za pomocą wygod i urządzeń pierwszorzędnych; letnikom zaś, którychby tu nie brakło, utrudniają pobyt wygórowane ceny i przymus restauracyjny.

Na werandzie restauracyjnej zastaliśmy szpakowatego średniego wzrostu mężczyznę, w którym poznałem emigranta-Polaka, obecnie jedne-

go ze współwłaścicieli zakładu. Jako technik wprowadził kilka cennych nowości, zwłaszcza w zakresie higieny, odnalazł też drugie źródło wody słonej, obfitsze niż dawne, a ma nadzieję wydobyć i trzeciego. Byłoby to dla zakładu niepoślednią zdobyczą, bo jedno źródło, nie wystarczając dawniej nawet na potrzeby nielicznych kuracyuszów, zmuszało zarząd łazienek do manipulowania ze solą zwykłą i wodą z potoka... Może linia kolejowa Twardoszyn-Jeleśnia, o której tu przebąkują, i corocznie czynione ulepszenia zdołają podnieść zakład do takiego rzędu, w jakim stać zasługuje, a wtedy nie wątpimy, że zaroi się tam i od Polaków, bo bardziej uroczego miejsca kąpielowego nie możemy sobie wyobrazić.

W powrocie spotkaliśmy chłopca starego jadącego konno w pole.

Podług mego rozumienia mógł mieć około 65 lat. Dziekan rozśmiał się na to i zagadnął przejeżdżającego:

— Ondras, a ile to masz lat?

— Ano, proszę, pan wielkomozny, będzie jakosi już więcej, jak ośmdziesiąt pięć...

Zdziwiłem się niepomiernie.

— Aleś jeszcze krzepki! — dorzucił ksiądz dziekan.

— Ee, juzem słabszy, na wiosnę mie ta oto szkapa potarasiła i jakosim słabszy...

Ośmdziesiąt-pięcletniego starca »tarasi« ko-  
była, ale on sobie z tego nic nie robi i jeździ  
dalej konno, czuje się tylko nieco słabszym!

Lud tu istotnie bardzo zdrowy i silny. Gdy-  
by nie olbrzymia, bo do 50% dochodząca, śmier-  
telność dzieci w pierwszych trzech latach życia,  
umieraliby tylko starcy między 60—80 rokiem  
lub starsi, bo są częste wypadki dożycia 100  
i ponad 100 lat. Śmierć kobiety młodej to chyba  
*penes partum*, jak notują metryki, chłopca mło-  
dego to chyba w lesie przy ścinaniu drzewa...  
Stąd to pochodzi, że tradycje i zwyczaje stare  
utrzymują się tu silniej, niż gdzieindziej; no-  
wości zwłaszcza w stroju podlegają wyśmianiu.  
»Nie będzie dobrze, kie siedlacy chodzą pod  
parasolem, a zydzi na koczku!« (w powozie) —  
upominają starzy gazdowie.

## 3.

Trzeciego dnia rano ruszyłem do Rabczyc,  
jednej z najstarszych osad, w której tradycje  
przybycia »z Polski« od Rabki dotąd nie wy-  
gasły. Pomimo wczorajszej pogody dziś cały  
horyzont był zakryty chmurami, nisko płyną-  
cemi tak, że Babiej Góry nic zupełnie nie było

widać. W drodze dopędził mnie jakiś »siedlak« z Rabczyc i naturalnie rozpoczął] rozmowę od



tego, aby się dowiedzieć, com zacz i do kogo idę. Zeszła potem pogwarka na pogodę; wskazałem ręką na bałwaniące się około Babiej Góry czarne obłoki, i żałowałem, że nie będę miał jej widoku z tej strony.

— Ano, panocku, to sytko bez tego »draka« (smoka) co siedzi w jamie pod Babiom Góróm.

I począł mi wyjaśniać genezę i istotę burz i niepogody. Oto na Babiej Górze żyje mnóstwo »gadów« (żmij); skoro który gad dożyje 100 lat rośnie potem niepomiernie i staje się »drakiem«, nieraz tak wielkim, że sięga od Babiej Góry po Pilsko. Byłoby źle bardzo, ale jest

tam »kuźlák« (czarnoksiężnik), który umie zaklinać draka i ratuje ludzi od klęski w ten sposób, że kiedy »drak« chce wylać jad na miasta i wsi, on mu pokazuje lasy i mówi, że to miasta, a góry, że wsi i dlatego największe ulewy idą na góry i lasy, a wsi i miasta wychodzą cało.

Doszliśmy tymczasem do wsi; odezwały się dzwony kościelne, a że to była niedziela, począł lud gnać się na różaniec, i mój towarzysz mnie opuścił.

W gościnnym domu rabczyckiego nauczyciela czyli, jak tu mówią »rechtora«, który jest zarazem i organistą i pocztmistrzem, zastałem jakiegoś starszego górala, któremu powtórzyłem opowiadanie o »draku«, zasłyszane na drodze, aby zyskać potwierdzenie i może nowe szczegóły. Rozgadawszy się, mówił wiele o Babiej Górze: jak to od niej idą podziemne chodniki pod małą Babią i pod kościół rabczycki, pod którym natrafiono na głęboki kanał przy kopaniu fundamentów, a nie ulega wątpliwości, że to był chodnik od Babiej Góry. W głębokiej jamie pod Babią Górą są wielkie skarby, ale trzeba umieć się tam dostać; panowie z Krakowa mają takie książki, z nich zaklinają »draka« i mogą się dostać do skarbów, z których się Kraków »spomógł«. Dlatego to tyle państwa z Krakowa



chodzi na Babią Górę... Czasem kto do tej jamy narzuca kamieni, ale wnet je coś wyrzuci na zewnątrz i oczyści jamę, a nikt nie wie, kto to.

Zadzwoniono na sumę i poszliśmy wszyscy do kościoła. Stałem sobie w głębi pod chórem, chcąc się przypatrzeć całemu kościołowi; niedługo jednak pozwolono mi tu pozostać, bo pan »rektor« zaprosił mnie gwałtem na chór, gdzie przeważnie gromadzi się pleć brzydka, pozostawiając ławki w nawie, piękniejszej (nie zawsze!) połowie rodu ludzkiego. Nie chciałem się wywyższać, aby nie być poniżonym, jak to szeroko i bardzo długo wyjaśniał niebawem z kazalnicy »pan farar«, i anim przypuścił że mi to poniewolne wywyższenie wyjdzie na pożytek. Podczas Mszy świętej wziąłem od mego sąsiada, obywatela rabczyckiego, jego książkę do nabożeństwa. Książka ta była polska: »Brewiarz Trzeciego Zakonu Świętego Franciszka«, drukowany w Krakowie. Dowiedziałem się później, że lud tutejszy chętnie używa książek polskich, chociaż ma niezwykle trudności z ich czytaniem; jakże może umieć czytać po polsku, skoro go w szkole uczą po madziarsku, a w kościele po słowacku... A przecież pociąg naturalny jest wielki i silny, skoro przewycięża trudności i nietylko podaje w ręce tutejszemu ludowi modlitewniki polskie, ale i inne książki, treści dewocyjnej lub poucz-



jącej, bo lud ten czyta chętnie i pouczyć się pragnie.

Jeszcze większe było moje zdziwienie, kiedym na końcu »Brewiarza« na czystych, wolnych kartach, począł czytać jakąś pieśń do Matki Boskiej, ołówkiem pisaną, bardzo złą ortografią, ale prawie wiernie w gwarze miejscowej:

*Ce mi tu tak być w uherski krajine,  
Ce Mareii służyć przy jej obrunie...*

(Czy mi tu tak być w węgierskiej krainie,  
Czy Maryi służyć przy jej obronie...)

Pieśń prosta, przejęta głębokiem uczuciem i uwielbieniem Matki Bożej, może nie zupełnie oryginalna i z reminiscencyj kazań i pieśni złożona, ale jakie to świadectwo oryginalnego talentu i łamania się z trudnościami ortografii! — Z 32 wierszy przytoczę jeszcze dla przykładu parę w pisowni literackiej:

Kto Maryi służy, niech do niej pospieszy,  
Ona go w największym kłopocie pocieszy.

Ona nas pocieszy w największym kłopocie,  
Daje wdowom sposób i biednej sierocie...

Ona z Aniołami do nieba wstąpiła,  
Ona prośbą swoją czyściec wyprzątnęła.

Prosiła synaczka, żeby się zmiłował,  
Te więźnie wypuścił, winę im darował...

Zabrał mi później tę książkę pan rektor do siebie i odpisałem w całości ów wyraz nabożeństwa do Matki Boskiej, podług twierdzenia właściciela modlitewnika, przez niego samego skomponowany.

Po południu byłem świadkiem, co może dobra wola i praca jednostki. Pan »rektor« zgromadził w pokoju swoją rodzinę; jedna córka siadła do fortepianu, druga do fisharmonii, jeden syn wziął skrzypce, drugi basy, ich kolega wiolonczelę, i gdy sam »rektor« zagrał prym na skrzypcach, rozległ się śpiew narodowy słowacki: »Nitra, miła Nitra...« w niewielkiej, ale tak dobrej orkiestrze, że słuchanie było prawdziwą rozkoszą. Po tej poszły inne słowackie pieśni, przeważnie w głęboko minorowych tonach, aż wreszcie zabrzmiał czardasz, który Słowacy uważają za swój taniec, przez Madjarów, równie jak strój narodowy, sobie tylko uzurpowany. Nie grający na instrumentach i obecni utworzyli kilka par i tak byłem świadkiem koncertu i małego domowego balu, w małej wiosce pod Babią górą.

Chciał mi pan »rektor« przedstawić jeszcze jeden owoc swej pracy — orkiestrę wiejską na

instrumentach dętych, ale, że się na chwilę wypogodziło, a ja chciałem przed wieczorem stanąć w Lipnicy, musiałem się wyrzec tej przyjemności i ruszyć w dalszą drogę, unosząc ze sobą prócz tego kilka zdjęć fotograficznych.

Po drodze wstąpiłem jeszcze do tutejszego księgarza i introligatora, którego ogólnie »Pietrem« nazywają. Ma on naturalnie wyłącznie prawie modlitewki i śpiewniczki kościelne, które kupuje w większej ilości bez oprawy, sam rozmaicie oprawia i chodzi z nimi po jarmarkach i odpustach. Czyni to dość zręcznie, bo odbył praktykę w dawnym zakładzie introligatorskim pana Gadowskiego w Krakowie, i ma maszyny rozmaite; czyni to obok zajęcia rolniczego, którego nie porzuca. Jest przytem bywalcem, bo był i w Ameryce i dlatego w niedziele, gromadzą się jedni u niego, gdzie się zabawiają rozmową i książką, drudzy u pana »rektora«, gdzie grają lub się przysłuchują.

A cóż robią karczmy? — zapyta ktoś świadomy życia niedzielnego na wsi. Karczem w Rabczycach niema, lecz dwa sklepy chrześcijańskie, które naturalnie w niedzielę są zamknięte. Zasługa to księdza dziekana, przedtem proboszcza w Rabczycach, który umiał lud praktycznie prowadzić na drogę moralności.

Lipnica należy do tych wsi górskich, które leżąc w wąskiej dolinie idącemu w poprzek, nie wzdłuż, nawet się domyślać nie pozwalają swego istnienia. Z pewnej odległości dostrzega się tylko szczyt wieży kościelnej, wyglądającej jakby jakiś osobno stojący budynek; dopiero nagle odsłania się kościół a w jedną i drugą stronę od niego szereg chat, ciągnący się wzdłuż potoku. Takie samo położenie ma i Mała Lipnica, (zwana w urzędowym, madziarskim języku Felső — tj. Górna) i obie Zubrzyce, Górna i Dolna.

Górne kończyny tych wsi sięgają do stóp Babiej Góry i tonęły niegdyś w niedostępnych i dziewiczych borach, pełnych grubego zwierzaja — i zbójników. Mniej więcej przed 150 laty, kiedy Lipnica miała już kościółek drewniany i skromną przy nim plebanijkę, pewnego ciemnego wieczora zapukał ktoś do drzwi probostwa i zażądał wijatyku dla umierającego. Zaledwo kapłan wyszedł poza próg swego mieszkania, zawiązano mu oczy, zapewniając, że się mu nic złego nie stanie, zaprowadzono do chorego i w ten sam sposób odprowadzono napowrót na plebanie. W nagrodę za trud jeden ze zbójników zostawił plebanowi worek złota przykazując, aby go użył na cel dobry, bo to »złoto

z krwi ludzkiej«. Kapłan wystawił za to duży murowany kościół, a na nim umieścił napis, wyjaśniający genezę budowy. Jeden z towarzyszy zbójceckich zostawił również na plebanii pałkę zbójcecką (bunkoś) stanowiącą odtąd inwentarz parafialny i pokazywaną ciekawym przez proboszcza.

Dziś kościół i karząca sprawiedliwość wytepiły zbójników, chciwe ręce handlarzy wytrzebiły lasy, a potomkowie dawnych Janosików i Proczpaków są pracowitymi i przemysłnymi mieszkańcami. Lipniczanie dolni zajmują się w zimie specjalnie tkactwem i wyroby ich mają zbyt wielki i idą w świat daleki.

Za zamożnością i dobrobytem idą jednak w ślad w tych stronach nieproszeni goście: zbytek i moda, które jeszcze w dzień roboczy tolerują ubiór góralski, ale w święto i niedzielę każą się zwłaszcza Lipniczankom przebierać zupełnie po miejsku i tracić tym sposobem swój indywidualny charakter.

Ugoszczony przez miejscowego księdza »fara« i uprzejmie poinformowany o stosunkach, ruszyłem rano przez Lipnicę ku Zubrzycy. Za ledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków w górę wioski, odezwały się dzwony na wieży kościelnej, a przedemną ukazał się orszak pogrzebowy, dążący ku kościołowi. Osobliwszy to był orszak.



Na wozie prostym, zaprzężonym w dwa konie, między gnojnicami spoczywała biała prosta trumna, z płaskim wiekiem, z pod którego na wszystkie strony na szerokość pół metra spływał biały całun, na znak, że to zwłoki kobiety. Na trumnie, oparty bokiem, spoczywał krzyż prosty biały, z daszkiem od górnej części ku obu ramionom, dla zatknięcia go w grób zaraz po pogrzebie. Obok wozu i za nim szła gromada wieśniaków w zupełnem milczeniu; mężczyźni w kapeluszach na głowie! Widziałem rozmaite wiejskie pogrzeby, ale takiego jeszcze nie widziałem. Mijając pochód, zdjąłem kapelusz, szanując majestat śmierci, a wtedy jakby zawstydzeni, pozdejmowali nakrycia głowy towarzyszący trumnie mężczyźni, na jak długo? — nie wiem, bom zboczył ku kładce na potoku, a orszak uszedł w ulicę między domami.

Czy to barbaryzm, niezgodny z postępem, w innym kierunku okazywanym, czy jaki może miejscowy zabobon — nie mogłem na razie zasięgnąć wiadomości, ale nie wątpię, że w przyszłości zdołam zbadać tego przyczynę.

Dla odpoczynku zatrzymałem się na wzgórzu między Lipnicą a Zubrzycą i zwróciłem się ku Babiej Górze. Zakryta cała mgłami nie dała się zobaczyć, a podług zapewnienia miejscowych,



ma ona stąd szczególnie pięknie się przedstawiać. Dosyć zmęczony i pokropiony przez drobny deszczyk, stanąłem w Zubrzycy. Właśnie jakiś góral zaprzęgał konie, aby zawieść pług w pole i orać na oziminę, skoro się w polu nic innego robić nie da. Po dłuższej rozmowie i targu zgodził się zawieść mnie przez Sidzinę do Osielca; musiał jednak jeszcze wrócić do domu dla stosownego urządzenia wozu. Zostawiwszy sąsiadowi konia, pojechał swoim ku domowi, wzywając mnie za sobą.

Podczas kiedy mój woźnica czynił przygotowania do jazdy, ja usiadłem na pniaku pod oknami chaty i starałem się zawrzeć kompromis z Burkiem, uwiązany niedaleko u węgła i warczącym na mnie z niedowierzaniem. Zwrócił moją uwagę warkot maszyny do szycia, dochodzący mnie z izby. Zaciekawiony wszedłem i zastałem istotnie przy maszynie do szycia dziewczynę wiejską, siostrę mego woźnicy, a obok tego inną dziewczynę, która prawdopodobnie przyniosła tej wiejskiej krawcowej materiał do roboty. Z leżących obok części jakiegoś kaftanika, z ubrania obecnych mogłem na pewno to wynieść wrażenie, że gorset barwny »łoktusa« i fałdzista spódnica dawno tu już ustąpiły miejsca kaftanikom z modnemi rękawami i ścinanym w kliny sukniom; patrzeć tylko rychło

zamiast chustek kapelusze pokryją głowy góral-  
lek! Ktoby się tego domyślał w tej tu zapadłej



dolinie... I w urządzeniu mieszkania znać było  
wpływ miasta. W pierwszej izbie było jeszcze  
wszystko po wiejsku, oprócz maszyny, ale  
w drugiej pokrywała siatkowa kapa wysoko  
wysłane łóżko, podobny obrus bielił się na  
stole, w kącie na komodzie ustawiono filiżanki

i szklanki, a przy oknach zasłony z białego muślinu.

Tak wyglądała izba biednej szwaczki; — prawdopodobnie znacznie więcej miejskich właściwości znalazłbym był u zamożnego Zubrzyczanina.

Kiedyśmy wreszcie ruszyli, począł padać deszcz rzęsimy i zaniósło się na słońce. W niewielkiej odległości, w górze wsi dostrzegliśmy kilku ludzi pod parasolami w polu; była to komisya sądowa, mająca na miejscu rozstrzygnąć spór o miedzę. Pieniactwo ludu górskiego jest tedy i tu powszechne, a do czego ono doprowadzi wraz ze skłonnością do trunku i rosnącym popędem do zbytku — łatwo przewidzieć. W miarę zbliżania się ku granicy mogłem dostrzedz większy konserwatyzm w budowie chat, które tu, jak i w Podwilku i Orawce (dawniej poznanej) nie różnią się niczem od chat w Spytkowicach, Rabie i Skawie, a jak się niebawem przekonałem, i w Sidzinie.

Gdyby nie zwrócenie uwagi przez woźnicę, nie wiedziałbym był, kiedyśmy przekroczyli granicę; ani kraj, ani ludzie nie zmienili swej cechy zewnętrznej, zmieniła się tylko droga, która na dół ku Sidzinie przestała być drogą, a była tylko kamienistym urwiskiem i wyrwiskiem, w którym nie wiem, jakim cudem mój

woźnica nie połamiał wozu i konia nie stracił. Nawet na równinie we wsi nie inna była jakość tej drogi, bo ją ustawicznie psują zwożeniem ciężkiego drzewa z lasu, a nikt nie pomyśli o naprawie.

W środku wsi mieliśmy popasać; tymczasem chociaż to było już po godzinie 12 w południe około kościoła, około karczmy i kółka rolniczego snuły się gromady weselnych gości, w znacznej części dobrze podchmielonych i zawadających. Dziewczęta, poprzebierane po miejsku, parobczaki niewiadomo po jakiemu, w bezbarwnej mieszaninie stroju tandetno-żołniersko-góralskiego. Jadące fury z drzewem zaledwo dozwoliły nam się wyminąć.

Popasłszy w Bystrej, ruszyliśmy dalej, ale — nie sami. Na koźle obok woźnicy, znalazła się jakaś kobieta z Zubrzycy, która pieszo dążyła do głośnego w Bystrej lekarza wiejskiego.

Po wstępnem opowiadaniu o nim, zagadnąłem kobietę:

— I wy mu wierzycie?

— Ano, proszę pana, on zawsze poradzi, albo powie, że rady nie ma. Jednej kobiecie, zamiast rady, kazał sobie uszyć białom kosule i trzeciego dnia pomarła.

— A jakże on wie, co choremu brakuje? Czy

trzeba chorego do niego przywieźć, czy może koszulę z niego przynieść?

— Nie, trzeba ino opowiedzieć chorość, a on naleje wody na miske i s ty wody sytko wy-cyta.

— Za poradę wiele się płaci?

— Daje się obyczajnie dziesięć grajcarów.

Miałem niesłychaną ochotę odwiedzić tego bystrzańskiego znachora; zbytnie oddalenie od drogi i brak czasu wobec terminu dojazdu do pociągu przeszkodziły temu.

W Osielcu zrobiła się piękna pogoda, ale Babiej Góry stąd nie widać. Niedługo czekałem na pociąg, który mnie z rozlicznymi wrażeniami i blisko tuzinem zdjęć fotograficznych zawiózł znowu szczęśliwie do Suchej, po odbyciu podróży naokoło Babiej Góry.



VIII.

NA SPIŻU POLSKIM.

I.

Przekroczyliśmy granicę w nierównem usposobieniu. Jeden zwłaszcza z towarzyszy podróży kłął po cichu, wymawiając tylko głośno wyraz »baba!«; ten bowiem znienawidzony gatunek istot ludzkich dał mu się we znaki w Gronkowie, gdzie towarzysz nasz rozpoczynając studia, zapędził się do starej chaty, zobaczył przy blasku zapałki stary »sosrąb«, w izbie już prawie się walącej, i kiedy właśnie zapaliwszy się do niego, miał zamiar go odrysować, został niegrzecznie przez »babę« wyproszony, i tylko szybkości, z jaką nogami poruszał, zawdzięczał ocalenie pięt w gwałtownem drzwi zamknięciu. Zemścił się wprawdzie zaraz, zwymyślawszy babę od niekatolików i odrysowawszy ładne kołkowanie odrzwi, ale mimo to dłuższy czas »jankor« opuścić go nie mógł.

Zaczęli niektórzy żartować ze »sosrębiarza« (jak go odtąd nazywaliśmy), zwłaszcza filolog

klasyczny miał wiele z powyższego faktu po-  
ciechy.

— Jest sosrąb? — pytał, ilekroć stanęliśmy  
przed chatą.

— To radzę zawczasu brać nogi za pas —  
wyrokował, gdy była twierdząca odpowiedź.

W tem miejscu, na polnej drodze, którąśmy  
postępowali, nie było nigdzie widomego znaku  
granicy galicyjsko-węgierskiej. Spór o to, czy-  
śmy już na terytoryum węgierskiem, czy jeszcze  
na galicyjskiem, rozstrzygnąć miała mapa szta-  
bu jeneralnego. Poczęto ją rozkładać, ale nim  
się w nią wpatrzono, trwał dłuższy spór mię-  
dzy »sosrębiarzem« a filologiem, bo ten umiał  
tylko wtedy czytać z mapy, jeżeli była ściśle  
ułożona w kierunku czterech stron świata. Na-  
reszcie przekonano się, żeśmy jeszcze w Galicyi.

Tymczasem lingwista (trzeci towarzysz wy-  
cieczki) począł debatować nad nazwą »Cistowa  
skała«, popod którą szła granica. »Cistowa,  
cistowa...« co to może znaczyć »cistowa?« —  
rozważał i roztrząsał ciągle, nie patrząc nawet  
pod nogi, a tu na drodze różnego rodzaju  
»skále« utrudniało pochód zadumanemu i za-  
patrzonemu w mapę. Szczęściem spotkaliśmy  
dwoje ludzi, idących ku nam. Nim się jeszcze  
dostatecznie do nas zbliżyli, zagadnął ich lin-  
gwista, wskazując na »Cistową« skałę:

— A co to za skała?

— A to, prosem pięknie, ci s o w a skała — brzmiała odpowiedź.

— Jaka? — pytał lingwista.

— Cisowa skała... — powtórzył zagadnięty.

— Cisowa? — pytał jeszcze niedowiarek.

— Naturalnie, że »cisowa« — zakonkludowałem, rozdrażniony tem dopytywaniem się bez końca. Za to mnie spotkała uwaga, zresztą słuszna, że lingwista chciał powtórnie i wyraźnie słyszeć ten przymiotnik, aby niezbicie dojść do przekonania, że nazwa ta, jak wiele innych, jest na mapie fałszywie zapisana. Nietylko brak kartografa między nami, ale i »krótkość czasu stała na zawadzie«, żem dłużej nie dysputował z lingwistą, ale zwrócił się jeszcze do ludzi, którzy nas już minęli i zapytał:

— Czy dobrze idziemy do Uj-Beli?

— Jako mówią — zapytał wieśniak — do Biąły?

— Ano, tak, do Nowej Białej — poprawiłem się.

— O hej, dobrze; ano widzom wiezą, za pół godziny bedom w Biąły...

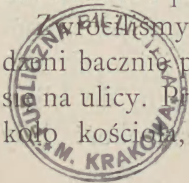
Przekonaliśmy się z tej rozmowy nietylko o tem, że lud tu mówi czysto po polsku, tak samo, jak u nas na Podhalu, ale i o tem, że narzucone gwałtem madziarskie nazwy, istnieją

tylko na mapach i w urzędowych aktach, lud zaś sam używa tylko swoich polskich, jak Biała, Niedzica, Rychwałd, Hanuszowce itp., a nie Uj-Bela, Nedecz, Reichwald, Hanusfalva itp. Marne i śmieszne są te gwałtowne zapędy madziaryzacji krajów i okolic od wieków słowackich lub też polskich...

Drogą kamienistą i żmudną dotarliśmy wreszcie do cmentarza bialskiego, otoczonego wałem z kamieni, częściowo już pokrytych trawnikiem i mającego na środku starą, ubogą kapliczkę. W cieniu drzew wysokich, na grobach, dawno zapadłych i trudnych do rozpoznania, odpoczęliśmy nieco i ruszyli następnie ku Białej.

Wieś Biała, jedyną należąca do Węgier na lewym brzegu rzeki Białki, ma charakter miasteczka. Wchodzącemu od strony północno-zachodniej przedstawia się na razie jako szereg stodół, bo się je spostrzega najpierwej; dopiero kiedy się wejdzie do środka, widzi się szeroką ulicę, przerzniętą płynącym wzdłuż potokiem, a w najszerszym miejscu, gdzie droga rozdzielając się, tworzy rodzaj wyspy na środku, widać kościół i parę za nim ogrodów.

Zwróciwszy się najpierw ku kościołowi, śledzeni bacznie przez mieszkańców, znajdujących się na ulicy. Próg furtki, wiodącej na cmentarz, koło kościoła, tworzyła gruba krata żelazna,



pod którą nie głęboki dół zarośnięty był chwastami. Zaciekawieni przeznaczeniem tej kraty, noszącej firmę Zakopanego, dowiedzieliśmy się później, że to ma być dla spływu wody z cmentarza podczas ulewy; bliższe prawdy zdaje mi się jednak przypuszczenie, że to rodzaj wycieraczki dla nóg zabłoconych, wkraczających w progi świątyni.

Kościół, który nam otwarto, jak zewnątrz tak i wewnątrz nie przedstawiał nic osobliwego. Usiedliśmy w nim chwilę dla odpoczynku, a tymczasem nasz »sosrębierz« spostrzegłszy z pod kościoła ciekawy szczyt domu i osobliwe na nim »pazdury«, począł zapalczywie rysować. Kiedyśmy ku niemu podeszli, był otoczony gawiedzią, gapiącą się na jego rysunek; stał obok również stary mężczyzna, jak się później dowiedzieliśmy, wójt gminy i dawał rysującemu wyjaśnienia. Dom, którego szczyt tak zajął naszego towarzysza, należał do organisty i nauczyciela zarazem, jak to zwykle bywa na Węgrzech. Wejść do niego nie można było teraz, bo »pan rehtór« spał (było to około godziny 3 po południu).

Dom był zewnątrz interesujący, a jak się później przekonaliśmy, dla tej wsi i innych spiskich typowy. Zwrócony szczytem do ulicy, obejmował pod dachem całą szerokość izby



o dwu oknach i obszerną bramę wjazdową. Przed oknami leżał niewielki ogródek z kwiatami. Szczyt dachu dosyć stary był wcale miernie ozdobiony żebrowaniem i kształtnymi wycięciami okienek. Miał też na wierzchołku oryginalny »pazdur«, jakiegośmy gdzieindziej nie spotkali. Domy wszystkie leżą tuż obok siebie, a nie mając we froncie (czyli szczycie) dostatecznej szerokości, rozciągają się wgłąb obory. Chcąc wejść do izby frontowej, trzeba przejść całą długość sieni za bramą wjazdową, poczem na lewo prowadzą drzwi do rodzaju sionki czy kuchenki niewielkiej, jednak z wielkiem ogniskiem i piecem piekarskim, a oświetlonej małym okienkiem ku podwórzu. Stąd wchodzi się do małej izdebki, a raczej kuchni, zapelnionej łóżkiem i innemi sprzętami, a stąd dopiero do izby wielkiej frontowej, która swoją szerokością zajmuje tyle, ile tamte dwie ubikacye razem, głębokością zaś dwakroć je przewyższa. Ma ona zawsze sosrąb, nieraz bardzo stary, rysowany, z napisem łacińskim lub zepsutym słowaczną polskim.

Urządzenie wewnętrzne podobne do naszych górali: rzędy obrazów Świętych Pańskich w czerwonych ramach, ława wzdłuż ścian pod oknami, stół często zupełnie podobny do zakopiańskiego, skrzynie również takie same (na ziolo-

nem tle malowane czerwone kwiaty), bo kupowane na jarmarku w Nowym Targu — zresztą nic osobliwego, chyba jeżeli się za osobliwość uważać będzie kufry amerykańskie, fotografie członków rodziny, którzy wyjechali do Ameryki, budziki amerykańskie i rozmaite kolorowe ogłoszenia firm przewozowych bremeńskich lub hamburskich, poprzylepiane pod obrazami Świętych. Ameryka stała się od pewnego czasu drugą i lepszą ojczyzną tego ludu, który ssany przez żydów, uciskany przez Madziarów, szuka tam zarobku celem poratowania zabagnionych stosunków majątkowych, rzadko zaś pozostaje na stałe, bo go ziemia rodzinna przecież silnie ku sobie pociąga. — Corocznie kilka, a nawet kilkanaście rodzin wyjeżdża do Ameryki prawie z każdej wsi na Spiżu i corocznie tysiące dolarów napływają na poczty spiskie, ratując pozostałych i wykupując zadłużoną ojcowiznę.

Lud to zasługujący ze wszechmiar na współczucie i bliższe poznanie, choćby tylko dlatego, że mową, strojem i obyczajem lud to nawskróś polski. W obejściu łatwy i uprzejmy, dziwi się tym panom, co taką samą jak oni mówią mową, tylko »jakosi piekniej«, sam bowiem słyszy w kościele język słowacki, w szkole i w urzędzie madziarski lub zepsuty słowacki.

Na całym obszarze Spiżu polskiego (etnograficznie), któryśmy poznali, drobne tylko zaznaczyć można zmiany w stroju jego mieszkańców od stroju naszych Podhalan. Mężczyźni noszą kapelusze z wygiętą kryzą, okrągłe (t. zw. węgierskie), cuhy przeważnie brązowe (czyli



jak oni mówią: c z a r n e) [z] wyszyciami czerwonymi, na rękawach odmiennymi, serdaki na biało wyprawiane z wyszyciami innymi, niżeli u nas, a w południowych częściach Spiżu polskiego (bliżej Podolińca i Keżmarku) bardzo bogatemi. Kobiety tylko różnią się w stroju więcej: zachowały więcej małowniczności, niż dzisiejsze Podhalanki. W Białej nie dostrzegliśmy tego, ale począwszy od Trypsia wszędzie

noszą mężatki włosy wplecione w kółko na ciemieniu, a na tem »cepiec« na podobieństwo żydowskiej »bindy«, uszyty z materyi kolorowej w kwiaty. Wszędzie noszą gorsety barwne, zwane »lajbikami«, fartuchy czarne i spodnice czerwone z białem w pasy, z własnego samodiału. Tu i ówdzie napotka się jeszcze stare »rańtuchy« (płachetki).

Zwiedzieliśmy w Białej kilka chat wewnątrz, kupiliśmy parę spinek bacowskich, takich samych, jak na Podhalu, a po skromnym posiłku ruszyliśmy w drogę dalszą, aby zdążyć przed nocą do następnej miejscowości. Zmieniliśmy plan pierwotny: zamiast na Krempach i Durstyn, poszliśmy wzdłuż Białki do Trypsia, pod wpływem rady księdza proboszcza.

Zapoznaliśmy się z nim niespodziewanie. Wójt bielski, towarzyszący zwłaszcza naszemu »sosrębiarzowi« powiedział nam, że ksiądz proboszcz to »wielki fotografista«. Błysnęła mi myśl, aby się z nim zapoznać, i uzyskać jakie zdjęcia bądź budynków, bądź typów, które ma gotowe. Za zgodą towarzyszy udaliśmy się na plebanję, czyli jak tu mówią na »farę«. Ksiądz przyjął nas niezmiernie uprzejmie i gościnnie, rozgadawszy się ze mną o obiektywach, kliszach, osłabiaczach i tym podobnych drobiazgach fotograficznych, zapomniał nawet o stojącym na

stole poczęstunku... Miał wiele klisz pięknych, bardzo dobre portrety, ale rzeczy przydatnych do mego celu mało! Dowiedziawszy się, że chętnie zwiedzamy stare kościołki, zwłaszcza drewniane, radził nam koniecznie nie pomijać Trypsia, w którym ma być starożytny kościółek.

Idąc wzdłuż Białki, roztrząsaliśmy kwestyę natury politycznej. Prawie na całej linii granicznej, oddzielającej Podhale od Spiża, jest rzeka Białka granicą; na tej podstawie żądają Węgrzy, aby i w najbardziej górnym biegu od Roztoki do Morskiego Oka ona była granicą, i nawet dlatego przywłaszczają sobie połowę Morskiego Oka; — czemuż tedy ta Białka nie jest granicą w swym biegu dolnym, ale oddajemy Węgrom wieś Białą i połowę tak zwanego boru harkłowskiego? Prawdopodobnie są tego głębsze przyczyny, natury nie politycznej, ale się łączą z własnością prywatną obywateli; jest to jednak jakiś wyjątek, który Węgrzy wyzyskują na rzecz swej zaborczości, skoro śmiało twierdzić, że całe Podhale należało niegdyś do Węgier! (Zob. *Przegl. zakop.* z r. 1903 Nr. 30, str. 274).

Rozgadawszy się o stosunkach granicznych, Morskiem Oku, *et aliis rebus*, doszliśmy niepostrzeżenie do Trypsia, kiedy już słońce zasunęło się za widnokrąg.



Tryps (na mapach: Tribs) pozostał nam na długo w pamięci nie tyle dla swych osobliwości, ile dla osobliwego noclegu, bo w nim mieściło się wszystko, czego się na noclegu nie pragnie: brud, niewygoda, robactwo i — drożyzna. Szczegóły pomijam, do pojęcia rzeczy wystarczy, jeśli zaznaczę, że kiedy który z nas wymówił »Tryps«, powstawał śmiech i złorzeczenie się odzywało...

Zaraz rano, (bośmy wcześniej wstać byli zmuszeni), oglądaliśmy największą tutejszą osobliwość: drewniany kościółek. Istotnie wart obejrzenia, jako rzadki zabytek dawnych czasów i jasny przykład tego samego typu kościółków drewnianych w naszych górach. Spód wieży służy zarazem za przedsionek świątyni, w której malowania ścienne wprost na drzewie, są już bardzo zatarte, równie jak na suficie. Ołtarze późne barokowe, zresztą wszystko ubogie. Nieco powyżej tego kościółka, również przy drodze, wzniesiono już kościół murowany w stylu gotyckim, ale daleko jeszcze do wykończenia.

Po mszy św. zaprosił nas proboszcz do siebie. Poczciwy staruszek, rodak spiski z niedalekiego Kacwina, skarżył się bardzo na stosunki tamtejsze, ożywiwszy się przedtem znacznie rozmową ze sosrębiarzem, który jest zarazem my-

śliwym. Skoro się rozgadali o odtylcówkach, ładunkach, rogaczach i różnych przygodach, zapomnieli zupełnie o śniadaniu, które nam podał proboszcz z gościnnością prawdziwie braterską. Oglądaliśmy i dosyć ładną monstrancję i kielichy, przechowywane w plebanii, w lepszym niż w kościółku zachowaniu; oglądaliśmy kronikę parafialną i metryki, z których nazwiska takie, jak: Pawlica, Grzanka, Łojek, Chudziączek, Wieloch, Jadamiec, Syska, Kluska — najlepiej świadczą o polskości parafian, których z częścią Czarnogóry (wieś graniczna przy Białce) liczy Tryps około tysiąca.

Tymczasem puścił się rzęsisły deszczyk, który nam utrudnił dalszą wycieczkę pieszą. Zamówiliśmy tedy konie; ale nim nadeszły, mieliśmy czas przyjrzeć się ludności i chatom.

Na miejscu dawnych chat drewnianych powstają obecnie niezgrabne »murowańce«, bo rząd madziarski z drzewa już nie pozwala budować. Gdzie są chaty drewniane, niczem się nie różnią od opisanych powyżej w N. Białej; bywają jeszcze i sosręby stare z wyrytym rokiem budowy, ale zresztą w sprzętach domowych ornamentyka uboższa, niż na Podhalu. Chaty ugrupowane są dosyć gęsto po obydwu stronach drogi. Ludność dosyć uboga, dostarcza emigracyi do Ameryki znacznego procentu.

W ubiorze nie dostrzegłem różnicy od powyższego bielskiego; tak samo widziałem ubrane kobiety i w poznanych później Łapszach Wyżnich i Niżnich.

Wśród podróży na wozie zatrzymaliśmy się dłużej w obydwu wsiach, powyżej wymienionych. — Ugrupowanie domów zupełnie to samo, szczyty tylko zdobione odmiennie, w inny deseń, między pazdurami niektóre osobliwych kształtów (n. p. chłopca). Kiedy nasz sosrębciarz zabawiał się po chatach, myśmy oglądali kościół zewnątrz. Nad bramą, otwierającą popod wieżę przejście do kościoła, umieszczono w r. 1886 żelazny krzyż nagrobkowy; na jego tarczy widnieje następujący czysto polski napis: »Przechodniu westchnij do Boga za fundatorów tego pomnika«. Również na cmentarzu są pomniki z napisami polskimi obok słowackich.

Wracając do wozu, spostrześliśmy przy woźnicy jakiegoś wyrostka, który ciekawie zaglądał do wozu i różne woźnicy zadawał pytania. Jakśmy się później dowiedzieli, zgniewani ciągłem jego towarzystwem i podsłuchiowaniem, — był to to żydzyk z pobliskiej karczmy, który radby był znać nasze rodowody nawet, gdyby był mógl. Prawdopodobnie był przez kogoś wysłany, aby nas śledził; chociaż jak wiadomo,

wścibskich między żydami nigdy nie brak. Żywioł to na Spiżu o tyle odmienny od spotykanego w Orawie lub Trenczyńskiem, że jest to żywioł napływowy z Galicyi, tem różny od tu-byłczego, że mówi po polsku, nie po słowacku i że na granicy zostawił pejsy i jupice, spiesząc do obiecaney ziemi węgierskiej...

W Niżnich Łapszach zatrzymaliśmy się krócej, nie znajdując nic osobliwego; na drzwiach bocznych kościoła znajduje się data zbudowania kościoła w r. 1652.

Ku Niedzicy staje się okolica więcej malownicza. Ciekawość zobaczenia zdała obu zamków naddunajeckich: niedzickiego i czorsztyńskiego, pchała nas ciągle naprzód tak, żeśmy w samej wsi zabawili bardzo krótko. Obejrzelismy tylko kościół pięknej budowy gotyckiej z wążącą się wieżą, z której dzwony zdjęto i umieszczono obok na prowizorycznej, drewnianej dzwonicy. Wnętrze kościoła zawiera również interesujące szczegóły w ołtarzach i obrazach; sufit zaczerniony jest śladem niedawnego pożaru, który zniszczył wieś prawie całą, a kościół pozbawił dachu i wieżę osłabił. Opowiadała nam o tem ze łzami w oczach i łkaniem żona dzwonika, oprowadzająca nas po kościele; nas więcej rozrzewnił ślad polski: wisząca w ramach na ścianie »Skarbona duchowna«, druko-

wana w czterech kolumnach w Krakowie »w drukarni Jakuba Matyaskiewicza J. K. M. Typografa«. *Fuimus Troes...* Kościół wart naprawy i to rychłej, mógłby być ozdobą każdego miasta, a nie dopiero wsi górskiej, ale czy się znajdzie mecenas lub przynajmniej sumienny kolator? Kiedyśmy kościół opuszczali, uderzyła dzwonikowa w mniejszy dzwon na południowy »Anioł Pański«; metaliczny, piękny dźwięk rozlegał się z jękiem po okolicznych wzgórzach i lasach. W dzwon większy nie dzwonią, bo mało ma miejsca w drewnianej szopie.

Deszcz począł nas znowu kropić i stał się przyczyną, żeśmy nie zwiedzili zamku niedzickiego, ale z mostu na Dunajcu przypatrywaliśmy się obu wrogim sąsiadom: ruinie czorszyńskiej i dumnemu magnatowi węgierskiemu. Napatrzeć się im dosyć nie można tak przykuwając wzrok romantycznością położenia i wspomnieniami przeszłości... »I tu chadzali w purpurze i złocie...«

Majestatyczny w tem miejscu Dunajec okolony wieńcem Pienin skalistych, miejscami lasem pokrytych, nęci również oczy: nie rwącym, ale przecież wartkim biegiem sunie w zamasytych półkolach, unosząc na grzbiecie tysiące belek smrekowych, z turni pienińskich spuszczo-nych. Po stronie węgierskiej wije się gościniec

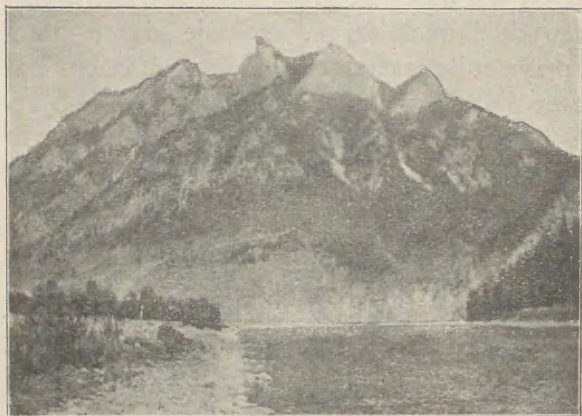


ciągle na płaskim jego brzegu, dozwalając podróżnikowi napawania się wszystkimi pięknosciami krajobrazu pienińskiego.

Zboczyliśmy do Starej Wsi, jedynej w tej stronie miasteczka, tem tylko chyba różniącego się od wsi dużej, że prócz kilku domów murowanych i okazalszych, znajduje się tu hotel z przyzwoitą restauracją, głównym celem naszego dążenia w tę stronę. Zresztą posiada Stara Wieś osobliwość, godną zanotowania. Oto nader pomysłowy jakiś budowniczy chcąc podprzeć walącą się wieżę kościoła murowanego użył do tego bardzo prymitywnego sposobu: zamiast drągów czy belek z prawej i lewej strony i z przodu dał na kształt belek szkarpy murowane, pod kątem przynajmniej  $45^{\circ}$ , podstawami tak oddalone od podstawy wieży, że z frontu od miasteczka ma to postać resztki wysokich murów, jakiejś zagadkowej, na nizinie wzniesionej twierdzy. Tylko krzyżyk skromny na niskim gontowym dachu wieży każe się domyślać poza owymi murami, kształtów kościoła, zupełnie skrytego. Jeszcze do osobliwości można by zaliczyć urzędników madziarskich, potracających brutalnie damy we drzwiach, pseudo-inteligentów, bijących laską psy, bez żadnego powodu, i wygwizdujących przeraźliwym i fałszywym tonem jakieś operetkowe melodye, wre-

szcie natrętnych cyganów, którzy wprowadzie są ogólną własnością Węgier, ale gatunek staro-wiejski nie ma sobie chyba równego.

Tymczasem pogoda; więc po dobrym obiedzie ruszyliśmy ku Czerwonemu Klasztorowi.



Tylko mała osada Majory, sprzeczne z naturą nosząca nazwisko i protestancka wieś Lechnica, dzieliły nas od tego uroczego zakątka pod Trzema Koronami leżącego. Kiedyśmy się zatrzymali, skoczyli natychmiast grający w karty Sromowczanie i pospieszyli ku nam, ofiarując swe usługi w podróży łódkami na Dunajcu ku Szczawnicy, aleśmy ich usługi tylko częściowo przyjęli, przeprawiwszy się na drugą stronę do Sromowiec Niżnych.

To zboczenie ze Spizu, spowodowane względami osobistej natury jednego z naszych towarzyszy, nie należy do niniejszego opisu, chociaż przyjemne z pobytu w Sromowcach wspomnienia i podziękowanie ks. proboszczowi za gościnne i serdeczne przyjęcie gwałtem się ciśnie pod pióro. Jednego przecież szczegółu nie mogę pominąć. Szliśmy lewym brzegiem Dunajca, zarosłym wierzbami, olchami i gęstą wikliną. Nagle dostrzegliśmy jeden, po chwili drugi słup kamienny z napisem bardzo zagadkowym to M. O. to znów G. Rzecz wyjaśnił nam ks. proboszcz: to kamienie graniczne Węgier i Galicyi: M. O. to »Mágyar Ország«, a G. to »Galicya«. Jakto? Przecież granicę galicyjsko-węgierską od ujścia Białki prawie do Szczawnicy na całej linii tworzy Dunajec? Skądże ta granica przeniosła się na brzeg lewy i zabrała kawałek wikliny Sromowczanom? Oto przed kilku laty Dunajec podmył naprzeciw leżący brzeg prawy, spiski, i utworzył przy brzegu dosyć rozległy kamieniec. Tę stratę powetowali sobie wnet Madziarzy. Zjechała komisya, odcięła kawałek brzegu i postawiła słupy graniczne, a pan starosta nowotarski pozwolił grzecznie na wszystko, zadowolony widocznie z tego, że nie całe Sromowce Niżne, ale tylko kawałeczek zabrali Madziarzy i że pozwolili łaskawie na postawienie obok

słupów madziarskich i słupów galicyjskich! Nie wiemy, czy o tem wszystkiem wiedzą powołane władze, czy się to stało z ich zgodą, ale warto zapytać, na jakiej podstawie dzieje się posuwanie granicy bez wiedzy Wydziału krajowego, a sprawę krajową traktuje się jako sprawę powiatową, domową? Czy nie jest to wstęp do zachłannego pożądania »Trzech Koron« i Piecin? Wszak jeśli całe Tatry powinny być madziarskie, dlaczegożby nie miały nimi być i Piecininy!? — O święta dobroduszości polskiej natury, pozwalającej sobie ciosać kołki na głowie i wstydzającej się wobec Madziara, że jeszcze madziarskiej nie rozumie mowy!

## 3.

O Czerwony Klasztor zawadzają częściej goście szczawniczcy; wie się więc więcej o nim, i częściej się o nim mówi, niż o innych spiskich miejscowościach. Nie mojem też zadaniem opisywanie tej uroczej, niegdyś kartuskiej pustelni, ani obrazowanie jej przeszłości; wrażenia które odniosłem, sformułuję krótko. Wspaniała ruina wprawia w podziw nie tylko wyniosłością murów kościoła z dobrze zachowaną zakrystyą i chórem, nie tylko rozległością klasztoru, niszczonego dziś grzybem, ale zarazem przepięknem

położeniem i wyzyskaniem każdego kąta ogrodu do właściwego celu. Jeżeli sam kościół, jako pamiątka, powinien być zachowany od zagłady, to reszta budowli i obszerny sad z ogrodem warzywnym nadają się nawet dla przedsiębiorcy do urządzenia mieszkań letnich, w których kilkanaście rodzin mogłoby się wygodnie i rozkosznie pomieścić. Podobno biskup unicki z Preszowa, do którego należy ta ruina, chce ją sprzedać za 12.000 złr. wraz z 40 morgami należącego do niej pola i lasu! I na to niema amatora...

Niespełna dwa kilometry ku południu przy dobrym gościńcu leży Śmierdزونka, małe miejsce kąpielowe. Dlaczego w tym roku lista gości wykazywała tylko 3, wyraźnie t r z e c h kuracyszów, nie dziwiłbym się wcale, wobec zimnego i deszczowego lata; że zaś wogóle kąpiele te nie prosperują, winą zdaje się być po prostu mnogość innych wód siarczanych na samym Spiżu, a cóż dopiero na całych Węgrzech, i oddalenie od kolei. (Do Podolińca przeszło 40 klm., do Piwnicznej również tyle).

Ale pomimo braku gości nie brak tu zawsze — cygańskiej muzyki i żydowskiej restauracji. Jedna i druga patrzy tylko, aby wydrzeć choć parę groszy z gościa, który z potrzeby lub ciekawości o Śmierdزونkę zawadzi.

Od Śmierdزونki zmniejszyło się nasze grono



o jednego towarzysza, filologa, który się udał w innym kierunku; naszym zaś celem było poznanie najdalej na wschód wysuniętych wsi polskich na Spiżu. Szliśmy tedy gościńcem dobrym, wiodącym przez Lipnik, Folwark, Kamionkę do Gniazd, ale, że wymienione wsi wielkie zamieszkują już Rusnacy (jak ich tu nazywają), a Leśnica, ostatnia wieś polska na Spiżu północno-wschodnim, leżała nam zanadto z drogi, zwróciliśmy się ku Haligowcom i Rychwałdowi, mając zamiar na noc zdążyć przez górę do Relowa pod Magurą.

Szliśmy w towarzystwie dwu wieśniaków i wieśniaczki z Haligowiec. Uskarżali się oni na ciężkie czasy, wskazywali na skoszoną koniczynę, którą zbierają żydowi-dzierżawcy za piętnastą kopę, ale pomimo biedy pozostali zaraz w pierwszej karczmie, napotkanej przy wstępie do Haligowiec, aby zostawić tych groszy parę, jakie dałem z nich jednemu za przeniesienie pakunków od Śmierdzonki.

W Haligowcach zatrzymaliśmy się dłużej przy pierwszej chacie, leżącej w dolinie, prawie prostopadle się ciągnącej do głównego gościńca. Dzień był skwarny, więc chętnie odpoczęliśmy w cieniu. Sosrębciarz poszedł za sosrębami, i znalazł uwagi godny stół stary; ale gdy go chciał odrysować, wyrostek obecny w domu poczał

płakać, że go ojciec bić będzie. Nie rozumiał o co chodzi, bał się wszelkiego zapisywania, bo widocznie musiało zapisywanie i spisywanie



przedmiotów w izbie przynieść już niejednen kłopot włościanom, w postaci wyższych »porcyj« (podatków). Szczęściem z sąsiedniej chaty wyszła młoda i bardzo przystojna kobieta z dzieckiem na ręku, a za nią jej mąż, brat owego wyrostka, a skorośmy im wytłomaczyli, o co so-

srebiarzowi idzie, i skąd my pochodzimy, uspokoił brata i umożliwił odrysowanie interesujących przedmiotów.

Te trudności na wstępie, miały się później jeszcze spotęgować. Był to dzień o tyle nieszczęśliwy, że ponieważ w Podolińcu był odpust (na św. Annę), parafie tego dekanatu świętowały również i przy każdym zatrzymaniu się na drodze, lub szkicowaniu ornamentyki szczytów dachowych, gromadki ludzi skupiały się około rysującego, zaglądały, przeszkadzały, lub dopytywały o cel rysowania. Sosrebiarz zniknął w jakiejś chacie, gdzie mu ukazano stary sosrąb, a my dwaj z lingwistą zostaliśmy na drodze, rozmawiając z ludźmi. Niespodziewanie wyszedł z pobliskiej karczmy (czwartej, napotkanej w tej wsi), jakiś podchmielony wieśniak, i zbliżywszy się do nas, bez żadnego pozdrowienia, zapytał:

— Cego oni sukają?

— Co nam się podoba — odparłem krótko.

— Ale cego oni tu kcom?

— Abyście poszli do domu i wyspali się.

— Co oni mi tu majom rozkazywać! Ja tu w domu, a oni kasi ze świata. Co oni tu kcom? pytam. Ho, ho, ja to znam, ja był w wojsku, to ja wiem, co to špejery (*Späher*). Oni tu poglądajom na kraje, a ja to wiem, co špejery.

Sytuacya stawiała się drażliwa. Chociaż pija-

ny, mógł swemi podejrzeniami o szpiegostwo sprowadzić innych, a na Węgrzech niczego się bardziej nie boją jak szpiegów i to z Rosyi.

— Moi kochani — zacząłem spokojnie — my wam nie zastępujemy drogi, więc idźcie spokojnie, skądęście przyszli i dajcie nam pokój.

— A skąd oni som?

— A czyście wy rychtar? (wójt). Jeśli rychtar zażąda od nas to się mu wykażemy, kto i skąd jesteśmy. Wam do tego nic.

— Rychtar, rychtar — ja wiem do rychtara, ja wiem, że co inzego jest nase uherskie, krakowskie wojsko, a co inzego polskie, moskiewskie., Ja wiem, o ja wiem. No chodźcie do rychtara!...

Stojący obok wieśniak zgromił pijanego i kazał mu iść do domu. Dodałem ja swoje głosom podniesionym i odmówiwszy mu prawa w żądaniu, abym się mu legitymował, zagroziłem żandarmami i służnym (komisarz powiatowy). Potem odeszliśmy nieco dalej, z utęsknieniem wyglądając sosrębiarza, aby tę wieś opuścić, bo usłyszawszy głosy podniesione, powychodzili ludzie z chat, i mogła powstać awantura niepotrzebna.

Pijak usiadł na brzegu drogi, mamrotał jeszcze coś pod nosem, potem zaczął drzemać.

Nadszedł sosrębiarz, ruszyliśmy dalej. Jeden

z obecnych chłopów szedł z nami i tłumaczył, że to znany pijak i awanturnik, żeby sobie z niego nic nie robić. Zaprosił nas potem do siebie, kiedyśmy pytali o dobrą wodę, sprzedał nam miodu, który był z dobrą, zimną wodą doskonałym środkiem uspakajającym na wzburzone nerwy i odprowadził do drogi. Był to wieśniak więcej oświecony, był dwa razy w Ameryce i chwalił się tem, co widział i co zarobił.

Ale kłopoty haligowieckie nie miały się tak prędko skończyć. Sosrębierzowi zachciało się koniecznie wejść do jednej jeszcze chaty. Rozpoczął rozmowę z kobietą, siedzącą na progu, ale kiedy chciał wejść do wnętrza, energicznem powstaniem i przywarciem drzwi wzbronila mu tego i o mało nie zwymyślała.

— Nie macie tam cego sukać — zakonkludowała.

Dostała się jej wprawdzie energiczna odprawa, ale naturalnie chybiła celu.

Mała tylko przestrzeń dzieli Haligowce od Rychwałdu (na mapach Reichwald). Wieś to więcej skupiona, niż Haligowce, uszczęśliwiona właścicielem dworu, żydem, którego córkę, czy siostrę napotkaliśmy na wstępie do wsi, z książką w ręku, używającą — sielanki! To też nie dziw, że karczma przy karczmie, a w nich mu-



zyka na harmonice, oraz śpiewy pijanych mężczyzn i — kobiet...

Głodni i znużeni wstąpiliśmy z potrzeby do jednej z nich. Karczma licha, jak świadczyło całe urządzenie niby paradnej izby, jeszcze lichsza była bryndza, a najlichsze piwo, którego wypić nie było można. W izbie szynkowej rozlegały się chrapliwe tony harmoniki, a w ich towarzystwie śpiew parobczaka, a potem kobiety. Słów nie można było dosłyszeć, ale melodia była dziwnie sfalszowana. Przed karczmą na werandzie i na drodze gromadka dziewcząt i wyrostków, a nawet kobiet z dziećmi, prowadziła żarty grube i figle, chwilami wcale nieprzyzwoite. Widocznie wódka, czyli palenka, jak ją tu nazywają, jest tu jedynym regulatorem moralności, która musi stać bardzo nisko.

Opuściliśmy rychło tę norę. Wieczór nadchodził, a my znużeni i głodni, mieliśmy przed sobą jeszcze sporą drogę i niepewny nocleg, bodaj nie gorszy, niż w Trypsiu. Rada w radę — postanowiliśmy zboczyć z wytkniętego kierunku, wynająć konie i dostać się na noc do Podolińca, gdzieśmy mogli liczyć na jaką taką wierzę i przyzwoity nocleg. Upłynęło jednak jeszcze dosyć czasu, nimeśmy z Rychwałdu wyruszyć mogli. Konie były na pastwisku; trzeba je było sprowadzić i w uprzęż przybrać; szczę-

ściem wóz był prawie gotowy. W czasie przygotowań rozglądałem się po oborze gospodarza; ugrupowanie budynków takie same jak we wsiach poprzednio poznanych, dom szczytem do ulicy zwrócony, a wejście do izby prowadzi z boku przez sień. — W izbie urządzenie, jak w góralskiej; ława, stół wysoki, skrzynia malowana (z N. Targu), — oto wszystko prawie. Kupiłem od starego gazdy starą spinkę bacowską; chwalił się, że bacował wiele i kazał zapisać, że to od Jędrzeja Jirchy. Widziałem wszędzie ludność polską, słyszałem język polski; — zastanawiała mnie nazwa wsi niemiecka.

— Czy to u was niema Niemców? — spytałem.

— O ni — odparł stary Jędrzej — Miemcy som na Lechnicy, aj w Podoleńcu, a w Gniądzak, ale u nás ni.

Rozumiał przez Niemców wyłącznie protestantów, jak to często bywa w Poznańskim i na Mazurach. Tak u ludu naszego jednoczy się ściśle narodowość z katolicyzmem.

Wreszcie był wóz gotowy i ruszyliśmy w drogę już po zachodzie słońca. Kiedyśmy wyjechali na przełęcz, z której widać dolinę Popradu pod Podolińcem, padał już mrok gęsty i mgła nakrywała dolinę białym całunem. Do Podolińca przybyliśmy późnym wieczorem.

## 4.

Piękny, pogodny ranek wywabił nas wcześniej dla oglądania tego ciekawego miasteczka, mieszczącego w sobie tyle i tak niedawnych polskich wspomnień. Będąc tu po raz drugi, służyłem towarzyszom poniekąd za przewodnika.

Pierwsze kroki skierowaliśmy ku kościołowi, leżącemu naprzeciw hotelu, na środku górnej części wydłużonego czworoboku, który zowią rynkiem. Było po godzinie 8 rano, w niedzielę, a w kościele ani żywej duszy, prócz dziada kościelnego, który kościół zamiatał. Ha, co kraj, to obyczaj; widocznie ludność świętująca od piątku, bo był jarmark, a potem odpust, nie kwapi się do domu Bożego, ale wypoczywa po mokołach dni poprzednich. Po obejrzeniu kościoła i ciekawej dzwownicy, jakby resztki starego ratusza, z attyką jak na Sukiennicach — obejrzelśmy ślady starych murów warownych, sośrębniarz odrysował oryginalne szczyty domów i bramy wjazdowe, poczem pospieszyliśmy do kościoła Pijarów. Było jeszcze zamknięte; dopiero o godz. 9 miała być Msza św. Czekających na stopniach ludzi, pytaliśmy o gimnazjum; wskazali nam budynek przylegający do kościoła.

— Czy tam uczą sami księża?

— O hej; było pono niedawno kilku świeckich, ale że nauka była płoną (marna), znowu wrócili księża.

Oto jakie wyobrażenia ma lud prosty o oświeceniu i kulturze madziarsko - liberalnej!

Przy wyjeździe z Podolińca zatrzymaliśmy się chwilę przed jednym domem, który miał w szczycie oryginalne wycięcia i zdobienie. Właściciel, uboższy jakiś Niemiec, stojący we drzwiach, zaniepokoił się bardzo, kiedy nasz sosrębniarz zeskoczywszy z wózka, począł w swej książce rysować. Zbliżał się nieśmiało, to z frontu, to z boku, patrzył ciekawie na dach domu, aż nie mogąc wytrzymać zapytał woźnicę, co pan robi. Odpowiedź uspokoiła go zupełnie; bał się — jak mówił — czy urzędnicy (niby my) nie znaleźli jakiego nieporządku na jego domu, i czy go nie zapisują.

Wkrótce z szosy dobrej zboczyliśmy na drogę wiejską do Toporca, chcąc się przez Magurę dostać do Relowa. Toporzec nas wprowadzić nie nęcił, bośmy wiedzieli, że to osada niemiecka, ale skoro wypadło jechać przez niego, nie mogliśmy nie dostrzedz szczegółów charakterystycznych.

Wieś długa i ludna ma dwa kościoły: katolicki i protestancki. Domy przeważnie murywane, z głęboko zagiętymi szczytami dachów,

mają oryginalne wycięcia kształtu skóry rozciągniętej, bo mieszkańcy trudnią się przeważnie garbarstwem. Ubiory mężczyzn miejskie (przynajmniej w dzień świąteczny); kobiety w pantoflach i pończochach, w czarnych fałdzistych spodnicach, w takichże »lajbikach« i chustkach na głowie, na pierwszy rzut oka świadczą o pochodzeniu germańskim.

Chciałem zdjąć fotograficznie parę domów w szeregu i zesiadłem z aparatem. Niebawem zjawiała się przedemną jakaś niewiasta z propozycją, czybym nie fotografował dzieci. Naturalnie odeszła z kwitkiem.

Niepamiętam dnia tak gorącego tego roku zwłaszcza tu pod Tatrami, jak była owa niedziela (27 lipca). Kiedyśmy jechali w górę od Toporca całe miliony bąków obsiadły konie i nas do tego stopnia, że trzeba było łamać gałęzie i oganiać się ustawicznie, a koniom formalnie potoki krwi płynęły po brzuchach. Więcej pieszo, niż na wózku, bez odrobiny cienia, bo lasy w pień wycięte, dotarliśmy przecież do gościńca, idącego przez Magurę od Białej Spiskiej i Słowieńskiej Wsi (Windschendorf-Tótfalu) do Starej Wsi i Niedzicy, poczem serpentynami gwałtownymi spadaliśmy poprostu, nie zjechali, na Relów i Hagi, dwie tuż obok siebie leżące wsi, wysunięte najdalej na południe pod Spiską Ma-



gurę. Zanotowawszy parę drobiazgów i pogadawszy z ludźmi, siedzącymi przed chatami, ruszyliśmy do Hanuszowiec, gdzieśmy się dłużej zatrzymać mieli.



Właśnie ludzie wychodzili po nieszpórach z kościoła, gdyśmy stanęli przed karczmą. Można było dokładnie zobaczyć strój świąteczny, zwłaszcza kobiet, które tu już noszą buciki sznurowane i spodnice z perkalu, obok kyrpców i spodnic samodziałowych. Widzieliśmy również u dziewczek gorsety aksamitne czarne i piękne

hafty u koszul. Mężczyźni noszą okrągłe kape-  
lusze węgierskie, a na szyi chustki czarne wią-  
zane nie pod kołnierz koszuli, która ma tylko



wązką listewkę. Zwyczaj to widocznie przyjęty  
od Niemców, bo madziarski wpływ za daleki.  
Lud się tu widocznie ma dobrze; chaty porzą-  
dne, zarówno drewniane jak i murowane, a mi-  
mo to nie brak opuszczonych przez wychodź-  
ców do Ameryki. Po Haligowcach, a nawet  
Rychwałdzie lud ten wydał się nam nierównie

sympatyczniejszy; z jego oblicza tryska wyższa oświata, swoboda w obejściu i brak podejrzliwości stwierdzają to w zupełności. Pytaliśmy o różne szczegóły siedzące przed domem kobiety, i otrzymywaliśmy odpowiedzi śmiałe i pewne; sosrębiarza nie można było wyciągnąć z chat, tak lgnął do sosrębów i łyżników. Na zewnątrz różnią się tutejsze chaty tem od innych, że szpary między belkami są wylepione wapnem, wskutek tego cała budowa ma pasy białe i ciemne.

W karczmie obsługiwała nas żydóweczka, jak się pokazało z Nowego Sącza, tu w gościnę przybyła. Nie mogła się powstrzymać przynajmniej od ubocznego zapytania, skąd jesteście, a usłyszawszy o Krakowie, żałowała, że dotąd tam być nie mogła.

— Ja to zaraz poznałam, że panowie nie tutejsi, bo mówią tak pięknie po polsku, a polska mowa wydaje mi się najpiękniejszą...

Jedna z tych licznych między żydówkami entuzyastek, które do zamążpójścia zachwycają się nawet Słowackim, a potem...

Wskazaną drogą ruszyliśmy ku Frankowej Wielkiej. Idąc po stromem zboczu góry, dzielącej te wsie obie, usłyszeliśmy w lesie najpierw oderwane okrzyki, a potem na polanie gwar jakiś zmieszanych głosów. Pod słońce nie mo-

gliśmy się na razie zorientować, co to, aż nagle otoczyła nas cała gromada — wesele cygańskie. Ubrani w koszule czerwone, z fantastycznym przybraniem głowy, z różgą weselną i innemi odznakami spieszyli przez górę widocznie do Hanuszowiec. Musieliśmy im się okupić, poczem w podskokach i z dzikim krzykiem pospieszyli w las na dół.

Schodząc ku Frankowej dostrzegliśmy na cmentarzu starym kościółek drewniany, którego presbiteryum tworzyła kopuła okrągła, a tylko mały przedsionek do niej był przybudowany jako nawa. Zeszliśmy ku temu miejscu i szczęśliwym trafem napotkaliśmy wieśniaka, który nam tę kaplicę otworzył, do kościoła parafialnego zaprowadził i jeszcze po wsi był przewodnikiem.

Okazało się to bardzo przydatnem. Widząc nas w towarzystwie poważnego gazdy, odrazu nas inaczej przyjmowali mieszkańcy Frankowej i bez podejrzeń otwierali chaty i okazywali przedmioty, o które pytaliśmy. Sosrębiarz znalazł wspaniały sosrąb stary z datą 1773 r., wbudowany w ścianę chaty i dlatego zachowany, nadto bardzo ciekawą skrzynię i łyżniki, ja pytałem o stosunki ludności i dowiedziałem się, że tej wiosny więcej niż 30 rodzin wyszło do Ameryki i dlatego co krok napotykałismy opuszczone domy.

Jeden rys charakteru ludności uderzył mię tem mocniej, żem się z nim dotąd na Spiżu nie spotkał. Podczas rysowania ciekawej rzeźbionej skrzyni poczęły się stare kobiety trącać, szeptać, i jedna śmielszej natury odezwała się po ukończeniu rysunku :

— Dalibyście ta za to co biédny kobiecie.

— Za co?

— No, wypróżniła wám (s)krzynkę, poma-gała... Co ta u wás koruna, albo i złoty...

Widocznie lud górski prócz wielu wspólnych właściwości ma jedną wybitną: dostać grosza lekkim sposobem, choćby i jałmużną. Rys to niezmiernie ujemny, ale niestety powszechny.

Żałowaliśmy niezmiernie, że nam tak mało zostało czasu na dobre zbadanie Frankowej. Już po zachodzie słońca ruszyliśmy ku Osturni, która miała być oddalona najwyżej pół godziny drogi. Prawda do wsi weszliśmy wkrótce, ale chcąc się dostać ku kościołowi szliśmy nie pół, ale najmniej 1½ godziny. Wieś to bowiem olbrzymia, licząca przeszło 400 numerów, a ludności przeszło półtrzecia tysiąca.

Przed karczmą i w karczmie zastaliśmy wiele ludzi pijących i na pół pijanych, a awantury nocne ze śpiewami, dobijanie się do zamkniętej szynkowni długo w noc trwało.

Poszliśmy rano ku kościołowi, stojącemu oso-



бно na drugim brzegu potoka na pewnem pagórkowatym wzniesieniu. Po drodze spostrzeżliśmy księdza, który złożywszy wierzchnie ubranie z dwoma ludźmi grabił siano, chcąc je skopić przed nadciągającą burzą. Kościół był zamknięty i nie przedstawiał nic osobliwego; zwróciliśmy się z powrotem ku wsi, aleśmy chcieli poznać księdza, więcśmy się do niego zbliżyli. Kazał przynieść klucze i sam nas prowadził do kościoła, objaśniając, że pomimo wyniosłej budowy nie ma on sklepienia, lecz drewnianą powałę. Weszliśmy i zaraz uderzyły nas niezwykle — carskie wrota. Na uwagę zrobioną księdzu, odparł, że je sprowadził z Wiednia, i objaśnił ile kosztują.

— A więc to chyba cerkiew?

— A, tak; mieszkańcy tutejsi są grecko-katolicy.

Otworzyły się nam nagle oczy, ale i wątpliwości się pojawiły.

— Jakże, przecież wczoraj i dzisiaj, ileśmy tylko rozmawiali z ludem, słyszeliśmy zawsze język polski?

— Ano, tak. Ci, co mieszkają bliżej cerkwi i częściej w niej bywają, mówią po rusku, ale z obu końców wsi, bardzo rozległej, spotykający się z ludnością sąsiednią tylko polską. mówią po polsku.

Sam ksiądz mówił z nami po polsku, gwara miejscową, tu i ówdzie wtrącając formę lub wyraz słowacki czy ruski.

Odezwały się na wieży dzwony, ponieważ nadchodziła gwałtowna burza, a deszcz gruby padać począł. Ksiądz proboszcz zaprosił nas do siebie, i ledwieśmy się na plebanię schronili, lunęła ulewa taka, że przez okno lało się do wnętrza pokoi.

Zapoznaliśmy się z całą rodziną księdza. Pani księdzowa rozmawiała z nami takim samym, jak ksiądz językiem, ale panna księdzówna i inne dzieci widocznie niewiele rozumiały; do nich i między sobą używali ci państwo tylko języka madziarskiego! Dzieci kształcą się w Preszowie i Koszycach, a panna już dorosła skarżyła się na takie odludzie w Osturni. Widocznie bawiła się dobrze w Preszowie...

Burza przeminęła, ale padał deszcz drobny; nie mogąc przewidzieć, czy później nie będzie gorzej, ruszyliśmy w dalszą drogę. Przypatrując się ludności, dostrzegliśmy różnice w stroju o tyle, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni, ci na oszewkach rękawów koszul, tamte na ramionach miały wyszycia wzorzyste czerwone. Mężczyźni noszą długie, skędzierzawione włosy i pasy szerokie, chociaż to był dzień zwykły, roboczy.

Nie idąc wzdłuż wsi, zboczyliśmy ścieżkami ku Łapszance, aby górą dostać się do Jurgowa. W przejściu przez bardzo ruchomą i śliską kładkę nad wezbranym obecnie potokiem, nie obešlo się bez przypadku, szczęściem w następstwie nie szkodliwego; oto jeden towarzysz, poślizgnąwszy się, wpadł do wody, ale tak, że stanął na nogi i zamoczył się po kolana.

Drogą stromą, a po deszczu i podczas deszczu podwójnie uciążliwą, dobrnęliśmy do ostatnich chat Łapszanki. Odpoczęliśmy nieco i przeczekali deszcz gęsty. Wyraziliśmy zdziwienie, że w Osturni mieszkają Rusini.

— A tak — odpowiedziano nam — tam inśa wiara, my tam nie chodzimy.

Czy obok wiary jest i pochodzenie ludności ruskie, czy może też to są Słowacy grecko-katolickcy, bo Polaków trudno tam sobie wyobrazić — nie mogliśmy się dowiedzieć ani od księdza, ani od okolicznej ludności. W każdym razie Osturnia może być ciekawym przedmiotem dla badacza, a zwłaszcza lingwisty.

Za Łapszanką deszcz przestał, góry się odsłoniły i mieliśmy tak wspaniałą widok na Tatry najwyższe, jakiego ani z Gubałówki, ani z Galicowej grapy mieć nie można. Od granatowych turni odbijały jaskrawo białe płaty leżącego w żlebach śniegu, a było go tego roku,

podług zdania ludności tutejszej o wiele więcej, niż kiedykolwiek.

— Ten już docká nowego — mówili z westchnieniem.

Zeszliśmy nareszcie w dolinę Białki i do Jurgowa, ostatniej wsi spiskiej w południowo-zachodniej stronie. Karczma przy karczmie, a wszystkie nędzne, a we wszystkich w dzień roboczy wesołe towarzystwo, które zostawiło z wozami konie na ulicy i zabawia się bez rachuby czasu. Za to kościółek drewniany, ubogi, z wieżą wymurowaną obok presbyteryum i stojącą zupełnie osobno.

Zajrzeliśmy do kilku chat dla poznania ich charakteru i nie znaleźliśmy nic osobliwego. Tylko nasz sosrębciarz nie wyszedł bez plonu, ułowiwszy parę łyżników i »ryzowanych« kądzieli.

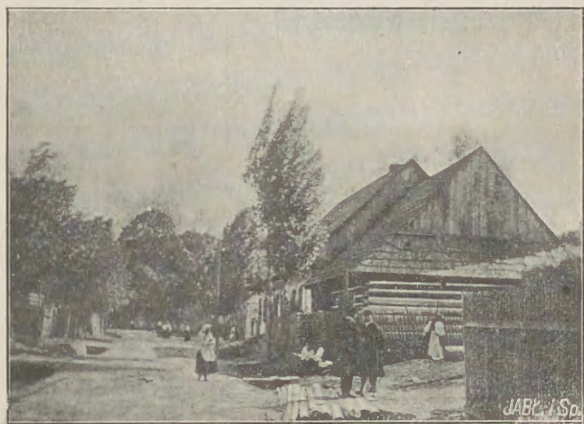
Czekając na niego, kupiliśmy od kobiety poziomek i zjedliśmy je zaraz. Żądała pierwotnie za nie za wiele, ale widząc, żeśmy do przepłacania nie skłonni, głaskała nas po ramieniu i zniżając po cencie, prosiła poprostu, by kupić.

— Bo ja też taká biédná — a syn jes w Hameryce...

I tu znowu Ameryka, jak wszędzie. Ileż tej ludności musiało wyjść ze Spiżu w latatach ostatnich?

W Jurgowie dowiedzieliśmy się, że głównie za sprawą ks. Hohenlohego ma być zbudowaną kolej żelazna od Białej Spiskiej (Szepes - Béla) przez Zdziar i Jurgów, Białkę do Nowego Targu, że już zbierano podpisy ze wsi, i że to będzie wkrótce uskutecznione. Ks. Hohenlohe daje rzekomo grunt pod budowę i przyczynia się do kosztów półmilionową sumą.

Być może, że kolej ta powstanie, ale jakież ona może mieć znaczenie dla okolicznej ludno-



ści? Może prywatnym interesom i ambicyom uczyni zadość, ale ludność spiska skorzystałaby więcej, gdyby np. uzyskała połączenie od Białej lub Podolińca ku Starej Wsi i linii kolei,



łączącej Nowy Targ z Krościenkiem. Takie głosy słyszeliśmy już dawniej.

Przekroczyliśmy Białkę na kładce, bardzo dobrze zbudowanej i opatrzonej poręczami. Stawśmy na wzgórzu, ciągnącem się ku wsi Bukowinie, obejrzelśmy się jeszcze na ziemię spiską, którą teraz pięknie południowe oświecało słońce. Poznaliśmy ją dosyć przelotnie, ale w najgłówniejszych rysach, bo z przeszło 30 wsi polskich przeszliśmy blisko przez dwadzieścia i właściwy charakter polskiego Spiżu przedstawił nam się wyraziście.



IX.

## JESZCZE O SPIŻU.

W jasny, cichy poranek sierpniowy obudził mię niezwykły ruch na rynku w Keźmarku. Tak pod oknami hotelu miejskiego, w którym mieszkałem, jak i na całym placu podłużnym, przytykającym bokiem krótkim do ratusza, stawiano stragany, otwierano paki, rozwieszano towary, wykładano owoce, jarzyny.

Jarmark!

Nic więcej nie mogło być dla mnie pożądaniem: mogłem zobaczyć ludność z dalekiej nawet okolicy, a szczególnie przypatrzeć się bliższym z pod Keźmarku, których znałem mało.

To też, skoro tylko rynek jako tako się zapełniać począł, wmieszałem się w tłum i podsłuchiwałem pilnie rozmowy i targu. Wyniosłem to samo wrażenie, co z miasteczek orawskich: kupcy mówią lichą słowaczyzną, lud mówi po polsku, tu i ówdzie wtrącając wyrazy słowackie np. »veru«, »len«, »prisam Bohu«, które znajdujemy i w gwarze górali podhalańskich.

Zaczepiłem grupę stojących na uboczu i rozmawiających po polsku, pozdrawiając ich uprzejmie. »Skądście gazda?«

— A my z Repiska, z pod Jurgowa.

Przyszli kupić skóry na kyrpce i dowiedzieć się o cenach »statku« (bydła).

Nie mogąc z nimi długo rozmawiać, aby nie zwrócić uwagi miejscowych i organów policyjnych, przeszedłem parękroć rynek i sfotografowawszy grupy jarmarczne i ciekawe szczyty domów keźmarskich, ruszyłem ku Lubicy (Leibitz), o której słyszałem, że jest osadą niemiecką, ale że są w niej i Polacy.

Mijałem idących jeszcze na jarmark i pędzących bądź bydło, bądź wieprzki. Rozmowa dochodząca do mych uszu była prawie wyłącznie polska. Przedemną kulejąc szła ku Lubicy jakaś stara kobieta z koszykiem, i co chwila odpoczywała i wzdychała. Przechodzącego około niej powitała słowami »Guten Morgen« więc roz-



począłem rozmowę po niemiecku i dowiedziałem się, że jest dozorczynią w szpitalu w Lubicy, że cierpi bardzo na nagniotki, których zgubić nie może i innych szczegółów jej doli i niedoli. Na zapytanie, jaka ludność mieszka w Lubicy, odpowiedziała z westchnieniem, że są jeszcze Niemcy, ale ci długo się nie ostoją; przychodzą »Slaven« wykupują grunta i budynki i coraz więcej zagarniają Lubicę. Pomimo to, że ludność jest niemiecka lub słowiańska, szkoły są tylko madziarskie, a w nich się niczego nie nauczy.

Minąwszy nowszy kościół protestancki, doszedłem prawie do końca wsi i tam spostrze-

głem w wieńcu lip przepięknych kościół katolicki stary. Zwiedziłem go nie bez trudności, bo kościelnego nie było w domu, a dzieci kluczy znaleźć nie mogły. Wreszcie znalazły. Kościół gotycki, z 3 słupami podpierającymi sufit, zeszepecony ołtarzami barokowymi a zwłaszcza barbarzyńskim malowidłem. Na zewnątrz w boku południowym wspaniały portal gotycki, zamurowany i zamaskowany figurą św. Jana Nepomucena. Cmentarz otoczony murem i lipami wywiera dziwny urok starych naszych kościołów wiejskich.

Dowiedziawszy się, że do źródeł kąpielowych (siarczanych) lubickich jeszcze trzeba iść ze dwie godziny, dałem za wygraną, i postanowiłem powoli wrócić do Keżmarku, bo upał stawał się coraz większy. Wracalem od kościoła boczną uliczką i nie mogłem znaleźć wyjścia na gościniec. Wyprowadziła mnie kobieta jakaś w średnich latach, która wyszedłszy z domu spieszyła z flaszką — po gorzałkę dla robotników. Dowiedziałem się od niej, że jest z Zamagórza (z północnej części Spiża), że tu Polaków jest więcej niż Niemców, i że coraz częściej wracający z Ameryki tu się osiedlają.



Tego samego dnia po południu zwiedziłem Mały Sławków (Kl. Schlagendorf).

Przeszedłszy most na Popradzie zboczyłem na lewo. Przed stojącą na rozdrożu karczmą dwóch gazdów siadało na wóz, ale podchmileni dobrze nie mogli tego czynu dokonać rychło, chociaż im wyrostek jak mógł pomagał. Kiedy usiedli, ujęli się rękami za szyję i poczęli śpiewać:

Pacy mi sie, pacy, juhaska maniera,  
Kosuleńka cárná, hlawa wymascena.  
Juhasio, juhasio, w ty cárny kosuli,  
Jagze sie ta dziewce ku tobie przituli.

Konie ruszyły i dalszy śpiew zagłuszył kół turkot.

Stojącego naprzeciw na chodniku robotnika zapytałem:

— A skądto ci gazdowie?

— A ponoś od Ździaru — odpowiedział. —  
Beli na jarmaku i ubawili sie.

\*

Z drogi, prowadzącej przez pola urodzajne nie widzi się nic, tylko dalekie we mgle Tatry; nawet Kežmark położony w dolinie nad Popradem znika zupełnie z oczu. Wprawdzie droga wiedzie prosto do Sławkowa, ale nuż to nie

ta droga? Pożądaną postacią jest jakikolwiek przechodzień, któryby objaśnił i wskazał. Ale przechodnia nie ma; niema nigdzie żywej duszy prócz świerszczy i wron przelatujących z ugora na ugor. Nareszcie żywa istota; chłop tłukący kamienie przy gościńcu.



— Czy dobrze idę do Sławkowa? — zapytałem pochwaliwszy Pana Boga.

— Do Małego? O, dobrze...

— Ano, chwała Bogu.

Ale oto i więcej istot żywych. Z głębi wysokich badyli ziemniaczanych wynurzyły się dwie dziewczęta: jedna może 10-letnia, druga pięcioletnia. Niosły liście i zieleninę prawdopo-

dobnie dla trzody. Poczekiałem aż się do mnie zbliżyły. Zapytałem znowu o Sławków, odpowiedziały czysto po polsku i pozwoliły iść ze sobą. Dowiedziałem się z rozmowy, że »mama byli na targu, ale już są doma, że w Sławkowie jest fara, ale niema fararza, lecz co niedziela przyjeżdża ksiądz z Keżmarku, że w Sławkowie niema Niemców, tylko w karczmie »na wyśnim końcu« żyje ich dwoje.

Ukazała się i osada, ukryta w dolinie, skierowanej prostopadle do doliny popradzkiej. Najpierw w polu jeszcze »cmintárz« (nie »cintorin« po słowacku!) potem jakieś stodoły, wreszcie kościół i szereg domów po obu stronach drogi, tworzący długą ulicę. Przeszedłem ją całą i zbliżyłem się do ostatniego domu, mającego odznaki szynku. Po schodach wszedłem na ganek i przez otwarte drzwi spostrzegłem w izbie zażywną niewiastę w górnej połowie ciała do koszuli rozebraną, i szyjącą na maszynie. Zapytałem czy mogę dostać kwaśnego mleka, a otrzymawszy przychylną odpowiedź usiadłem na owym ganku. Niebawem zjawił się gospodarz, jeszcze młody. W rozmowie, prowadzonej po niemiecku, dowiedziałem się, że w Sławkowie »alles slavisch« i że oni tu również nie długo będą mieszkać, bo tu niema interesu. Chciał się Niemiaszek koniecznie dowiedzieć,

kto jestem i poco tu przyszedłem, chciał mi stręczyć kupno ziemi, bydła, wreszcie skierował rozmowę na Amerykę i wychodztwo, domyślając się we mnie ajenta, ale wszystkie jego strzały chybiły. »Jestem turystą, czekam w Keżmarku na moich towarzyszków i wyszedłem w tę okolicę na przechadzkę«. Tyle mu powiedziałem. Widziałem, że mu moje wyznanie wydawało się podejrzanem, a niebawem zaszła okoliczność, która mnie zmusiła do wylegitymowania się, chociaż nie jemu.

Przy końcu mego pobytu w gospodzie zjawił się jakiś wieśniak podpity i począł i śpiewać i mówić dosyć nieprzyzwoicie. Mnie interesował jego język, czysto góralski i zapytałem go, skąd jest. Okazało się, że jest z pod Starej Wsi w Zamagórze tj. w północnym Spiżu. A że miałem odejść nie zatrzymywałem się dłużej, lecz ruszyłem w drogę. Pijak odprawiony przez Niemca, przyczepił się do mnie i chciał mi być przewodnikiem do Keżmarku! Przeszedłem z nim wieś całą, nie mogąc się go pozbyć, wreszcie mnie opuścił, ale począł hałasować i wywołał komendanta posterunku żandarmów. Usprawiedliwiając się przed nim i uniewinniając, począł zdaje się pleść o mnie niestworzone rzeczy, bo żandarm zawołał, abym się zatrzymał, i zbliżywszy się do mnie żądał legitymacyi.



Wiedziałem, że jakikolwiek opór sprowadziłby na mnie kłopoty nieprzewidziane, więc jakkolwiek to nie była chwila, w którejby żandarm miał prawo żądać odemnie legitymacyi, przedłożyłem mu ją, i żegnany wojskowym ukłonem ruszyłem w drogę powrotną.

\*

Biała Spiska (Szepes-Béla) jest typem wsi, przekształcającej się w miasteczko. Środek ulicy głównej, obok której grupują się w dwu rzędach domy, domki i chaty, mieści już kamienice piętrowe, naturalnie żydowskie, zajęte na parterze przez handle i sklepy a w znacznej mierze i przez szynki ; części ulicy dalsze tak na końcu dolnym



jak i górnym są zabudowane domkami parterowymi, a w nich mieści się ludność chrześcijańska tubylcza, wypierana powoli przez panoszący się semityzm. Nietylko kształt dachów, ale i resztki rzemiosła pozostałe wskazują, że niegdyś głównem obok rolnictwa zajęciem mieszkańców Białej było białoskórnictwo (garbarstwo); świadczy o tem w środku miejscowości pozostały, choć na inny cel obrócony, młyn do tłuczenia kory dębowej, poruszany dość silnym prądem potoka, przecinającego wzdłuż całą osadę, i płynącego w dolnej części, w dość głębokim jarze.

Przypadek zrządził, żem dostał w t. zw. »hotelu miejskim« pokój, mający okno na most i główną arterję ruchu; siedząc przy oknie otwartem mogłem czynić spostrzeżenia i przysłuchiwać się mowie dzieci, bawiących się na gościńcu, i przechodzących tam i sam mieszkańców. Mowa ta była wyłącznie polska; tylko żydzi szwargotali z niemiecka żargonem, a reprezentanci władz madziarskich »alasolgajowali« (po węgiersku: *ála szolgaja* — sługa uniżony).

Podczas obiadu wszcząłem rozmowę z synem właścicielki hotelu, który jak widziałem, wielką miał ochotę coś się o mnie dowiedzieć. Na moje apodyktyczne twierdzenie, że ludność tutejsza mówi po polsku, nie odpowiedział przeczeniem,

ale z westchnieniem zauważył, że nie wie czy to język polski, w każdym razie słowiański, odmienny nieco (!) od słowackiego, czyli jak go tu sama ludność zowie »góralski«. Nie rozumiał jak mogę nawet zwracać uwagę na taką mowę, a lud sam nie wart, aby się nim zajmować i z przyjaźnią ku niemu się zwracać, bo to wszystko »łajdaki«. Nie miałem czasu żądać od niego udowodnienia tak ciężkiego zarzutu, bo zjawił się dorożkarz zamówiony i ruszyłem w dalszą drogę.

\*

Zeszedłszy w dół od Białej ku wschodowi, przekroczyłem tor kolejowy i wszedłem w dolinę Popradu, na zielone łąki. Droga wiodąca do Wsi Krzyżowej łukiem zachodziła ku mostowi na Popradzie, obsadzona wierzbami i wikliną. Było gorące przedpołudnie, i było pasione na łąkach gzić się poczęło na dobre. To jeden, to drugi byczek wynurzał się z gęstwiny i wypadłszy na drogę pędził bez upamiętania z zadartym ogonem. Wkrótce wypadła cała gromada, a między nią jakiś śmielszej natury niedorostek zwrócił się prosto ku mnie z rogami. Szczęściem schroniłem się poza starą wierzbę, a w tej samej chwili długi biał pasterza wskazał niesfornemu właściwy kierunek drogi.

Przyszedłszy ku mostowi zeszedłem na bok

nieco i usiadłem w cieniu na leżących tam belkach, aby odsapnąć i ochłonać z wrażeń — bydlęcych. Ledwo zdjąłem czapkę z głowy, i począłem obcierać spocone czoło, gdy nagle stanął przedemną napół nagi cygan i począł marmrocąc wyciągać rękę po jałmużnę. Z początku postanowiłem go ignorować; aż oto z drugiej strony pojawił się — drugi! Chwila była krytyczna — mogli mię napaść i obedrzeć do naga. Wstawszy począłem szukać po kieszeniach, aż znalazłem we właściwej kieszeni — browning i błysnąłem nim w oczy napastnikom. Umknęli na bok, klnąc po swojemu. Zabrałem manatki i ruszyłem na most. Skąd się wzięli cyganie — wyjaśniła się zagadka. Oto właśnie poniżej mostu po ostatniej powodzi utworzyła się ława piaszczysta, i widocznie cyganów najęto, aby ten piasek wywieźli na brzeg i wysuszyli. Na brzegu stało ich dwu jeszcze — widocznie czekali na uczestników wyprawy — a dalej przy drodze stała licha szatra, z dymiącem ogniskiem.

Ruszyłem szparko drogą ku wsi, oglądając się czy mnie gonią. Było miejsce otwarte to prawda, i to ich zdaje się wstrzymało; ale nigdzie ani na drodze, ani na polu nie było żywej duszy.

Przeszedłszy obok mieszkań robotników fabrycznych a potem obok folwarku, wszedłem w głąb wsi i zdążałem ku kościołowi. Aż nagle

z bocznej drogi wysypało się cztery cyganichy i dalejże zebrać. Tym musiałem się już okupić, nie chcąc, aby mnie piskami swemi wiodły aż pod kościół; zauważyłem jednak, że dzień ten był pełen przeszkód i przeczuwałem, że jeszcze na tem się nie skończy.

Kościół był zamknięty. Kiedym się rozglądał do kogoby się udać o otwarcie, odezwał się do mnie z altany obok leżącego domu głos jakiś po niemiecku, kogo szukam. Był to »rechtór« miejscowy, który wyszedł ku mnie kulejąc i kazał zaraz przynieść klucze.

Kościół stary, zdaje się pierwotnie gotycki, jak wskazuje portal boczny murowany. Dziś dano sufit romański, ołtarze barokowe, a chór niewiadomego stylu. Ale pomimo to kościół może zainteresować starożytnika, bardzo ciekawymi drzwiami kowanymi do zakrystyi, piękną kadzielnicą, a szczególnie staremi freskami poza wielkim ołtarzem, które mają być odnawiane i cały kościół malowany, podług wskazówek z Budzina.

Kiedyśmy oglądali osobliwości zjawił się w kościele i rychtar tej wsi; rozmowa przestała być niemiecką, rychtar i ja mówiliśmy po polsku, a p. rechtór musiał się naginać do słowaczyny lekko spolszczonej i umiejscowionej. Na odpowiedź moją, że jestem z Krakowa, zwró-

cił ryhtar swoją uwagę na feretron, przedstawiający św. Antoniego, i opowiedział, ile to kłopotu ten św. Antoni narobił gminie. Pewnego lata zjawił się w Krzyżowej Wsi kwestarz Bernardyn z Kalwaryi Zebrzydowskiej i zbierał od ludzi na msze po 1 K; przytem naopowiadał tyle ludziom o cudach, jakie działa św. Antoni, że siostry jakiegoś bractwa zamówiły za jego pośrednictwem figurę św. Antoniego z Krakowa. Figura nadeszła, ale ks. farar miejscowy nie chciał jej przyjąć do kościoła. Sprawa obita się o dziekana keżmarskiego a nawet o żupana spiskiego, spisywano protokoły, czyniono śledztwa, aż po poświęceniu figury w Keżmarku, i po śmierci starego farara, nowy do kościoła przyjął tego intruza krakowskiego. Tak to rząd węgierski boi się nawet feretronów krakowskich.

Gdyśmy kościół opuścili i gdym się z rektorem pożegnał, opowiedziałem ryhtarowi przygodę z cyganami. Zaklął potężnie i powiedział, że on im tego nie daruje, a dla uchronienia mię od możliwej napaści drugiej, odprowadził mię sam aż do mostu.

Wynająłem dorózkę do Kotliny czyli do grot bielskich, ale miałem to przekonanie, że to jedna droga, czy prosto przez las, czy gościńcem przez Słowiańską Wieś, Wyborną i Lendak. Tymczasem mój automedon nie chciał jechać przez te



wsi, że droga gorsza, i musiałem się zgodzić na jazdę prostą, zwłaszcza, że się zaniosło na burzę. Przyjechaliśmy tedy do Kotliny z deszczem i w tej słocie i po błocie szukałem schronienia na noc; wszystko było zajęte, aż wreszcie znalazł się jakiś pokoik w »Kurhauzie« obok kuchni, który musiałem zająć, nie mając wyboru.

Drugiego dnia, obejrawszy uroczą »kotlinę« ruszyłem w stronę Lendaku z nadzieją, że może uda się mi dotrzeć i do Wybornej i tym sposobem wynagrodzić sobie zawód, sprawiony mi przez fiakra wczoraj. Szedłem bardzo powoli z dwu przyczyn: raz, że słońce przypiekało nie na żarty, a droga wiedzie ciągle pod górę, chociaż krajem lasu, drugi raz, że okolica z każdym krokiem stawała się więcej malownicza i zmuszała do zachwyty. Za mną biegło jakieś dziewczę może 10-letnie i wreszcie miało mię już przegonić.

— Kaz sie tak spiesys? — zapytałem.

— A do domu — odpowiedziała.

— Do Lendaku?

— Ano.

— A cóż tam niesiesz z Kotliny?

Rozśmiała się naiwnie.

— A nic. Pusty trzop z jagód (poziomek).

— Toś jagody nosiła?

— Jagody.

— I nic nie zostawiłaś dla mnie?

— Chodźcie, panie, do nas do domu to wam dam.

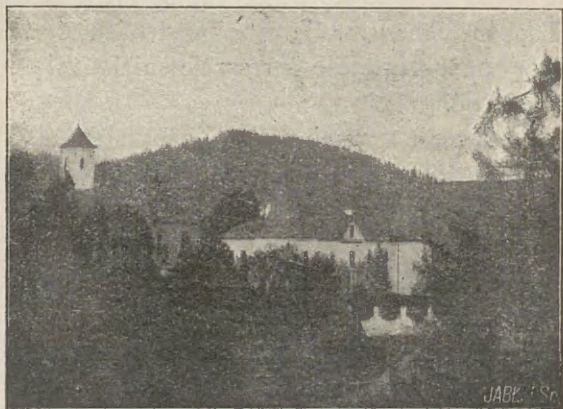
— Dobrze, pójdę.

Zuzia — bo tak było mojej małej — spieszyła szybko naprzód, że ledwie mogłem jej nadążyć.

— Możebyśmy trochę spoczęli — zachęcałem ją, sam zmęczony.

— Ej, to spocywiejcie, ja muszę wrócić do domu.

Więc nie spoczywałem, tem bardziej, że już pokazała się wieża kościelna, wieżyczki zamku, czyli kasztelu lendackiego a niebawem i cała wioska, w jarze schowana, oczom się otwarła.



Zaszedłem ze Zuzią do jej chaty, gdzie zastałem matkę zniecierpliwioną, że jej długo nie widać, bo musi jeszcze krowę pogonić na paszę. Matka uboga mieści się w jednej izbie z ośmiorgiem dzieci; dwoje starszych od Zuzi poszło z ojcem do Ameryki.

Chciałem się napić mleka, ale nie miała — sąsiadka za to chętnie mię pogościła i nie chciała przyjąć żadnej zapłaty. Obdarzyłem dzieci, czem mogłem, i zapytałem o właściciela kasztelu. Dowiedziałem się, że »grof« jest obecnie, ale w ziemie »siedzi« w Budzinie.

— Czy daleko do Wybornej?

— E, nie. Chcecie tam iść? Patrzcie będzie lejawa.

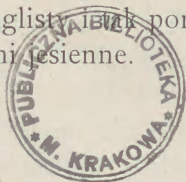
Rzeczywiście od zachodu zaniósł się bardzo i niebawem grube obłoki nakryły słońce; jaśkółki latały tak nisko, że prawie dotykały ziemi.

Pożegnałem znajomych i ruszyłem do Kotliny z powrotem.

Na polach zawrzało. Na gwałt zwożono siano do domu, albo z pokosów kopiono, aby je uchronić przed zalaniem.

Deszcz grubemi kroplami już padał, kiedym dotarł do Kotliny, i całe pół dnia lał bez litości, że o wychyleniu się poza obręb mieszkania nie można było mówić.

Zrezygnowawszy ze zwiedzenia Wybornej i innych jeszcze osad, wróciłem przez Żdżar i Jaworzynę do Zakopanego, w dzień słotny, mglisty i tak ponury, jak rzadko bywają nawet dni jesienne.



## T R E Ś Ć :

|                                            | Str. |
|--------------------------------------------|------|
| I. Z Mazowsza pruskiego . . . . .          | 1    |
| II. Na mazurskiem pojezierzu . . . . .     | 17   |
| III. W przejeździe przez Warmią . . . . .  | 32   |
| IV. Nad zatoką pucką . . . . .             | 40   |
| V. W „Szwajcaryi“ kaszubskiej . . . . .    | 52   |
| VI. Za przesmykiem jabłonkowskim . . . . . | 62   |
| VII. Około Babiej Góry . . . . .           | 84   |
| VIII. Na Spiżu polskim . . . . .           | 113  |
| IX. Jeszcze o Spiżu . . . . .              | 153  |



WBP Kraków

**CzG-s**



nr inw.: P - 57289